



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Ogródki dziecięce.



Znałam matkę, która nie mając zwyczaju wyręczać się boną, prowadziła zawsze sama działwę swoją na przechadzkę.

Gdy zdarzyło im się podczas wycieczek spotkać niekiedy tych nieszczęśliwych „wyrzutków społecznych” w więziennych siernięgach, pędzonych pod grozą błyszczących pałaszy dozorców, matka mówiła dzieciom:

— Przypatrzcie się, tym nieszczęśliwym!... Wyrosli na ludzi złych i szkodliwych, bo nikt im nigdy nie powiedział, gdy byli dziećmi, co czynić trzeba, aby stać się dobrym człowiekiem. Oni nie mieli, jak wy, troskliwej opieki, nikt się nimi nie zajmował, nikt ich nie kochał i oni nikogo.

Nikt ich nigdy nie kochał i oni nikogo!...

Te proste słowa stokroć trafniej rozwiązują smutną zagadkę powstania straszliwych wrzodów i ran na ciele społecznym, niż tomy całe uczonych dociekań.

W bezwzględnej do niedawna obojętności wyższych sfer na wrogie warunki, w jakich rozwijały się dzieci klas ubogich, pracujących, obserwator społeczny niechaj szuka przyczyny stopniowego zaniku wśród tych klas etyczno-społecznego zmysłu.

Bo przyznajmy tak z ręką na sercu, co też kogo obchodziły dawniej brudne, rozczochra-

ne, wstrętne niekiedy (miejmy odwagę to powiedzieć) dzieci proletaryatu!...

O ile jeszcze były sierotami, otwierało się dla nich, acz w niedostatecznej liczbie, ochrony, lecz gdy posiadały naturalnych opiekunów, nikt sobie niemi głowy nie zaprzętał. A tymczasem, ci naturalni opiekunowie, ofiary ciemnoty, nędzy materyalnej i co za tem idzie, moralnej, co mogły dać dzieciom swoim?

Co najwyżej przekazać im w dziedzictwie wszystkie rany ducha i ciała.

Lecz oto na zegarze pochodu ludzkości ku światłu i prawdzie, wybiła godzina...

W sercach ludzi z wyższą duchową kulturą, kielkować zaczyna pod wpływem rozwoju uczuć humanitarnych, boskie nasionko miłości ku słabym i wydziedziczonym. Nasionko to wzrasta, rozwija się; los dzieci, które dotąd wychowywała ulica i nędza, zaczyna budzić szerokie zainteresowanie, wraz z gorącym pragnieniem złagodzenia im twardych warunków bytu. Powstają przed laty dwudziestu kolonie letnie, a przed dwoma Ogródki dziecięce z fundacyi W. Raua.

Jak niezmiernie miastu naszemu potrzebną była instytucja podobna, świadczą wymownie cyfry.

Gdy w roku 1899-ym otworzono pierwszy Ogródek dziecięcy przy ulicy Agrykoli, zapisało się doń odrazu tysiąc kilkaset dzieci.

W roku bieżącym napływ rodziców z dziećmi do zapisu jest tak liczny, iż około trzydziestu osób, zajmujących się administracją „Ogródków dziecięcych” w Towarzystwie hy-

gienicznym (któremu spadkobiercy ś. p. W. E. Rau'a wykonanie projektu swego powierzyli) ledwie wydołać może zadaniu.

W Ogrodzie Saskim, jako znajdującym się w śródmieściu, zapisało się 4,000 dzieci, w ogrodzie „pod Sobieskim” 1,000; tyleż przy ulicy Agrykoli (gdzie jest zbyt ciasno), na Woli i na Pradze, a liczby te wciąż wzrastają.

Wiele różnorodnych przyczyn natury bądź fizycznej, bądź czysto duchowej, składają się na zapal, jaki dzieci warszawskie sfery niezamożnej, okazują do zabaw wspólnych w ogrodach.

Chcąc się zapoznać z przyczynami, jak wspomniałam, czysto duchowej natury, potrzeby dotrzeć do samego wnętrza serduszek, albo lepiej duszyczek, całych tych zastępów dzieci, spieszących radośnie na zabawy. Dostrzeglibyśmy tam uczucia bardzo skomplikowane choć nieuświadomione, na które złożyły się w pierwszym rzędzie: wdzięczność za zajęcie się niemi z pobudek czystej miłości (co odczuwają doskonale), podniesienie się w skutek tego poziomu ich godności osobistej, ocknięcie się poczucia indywidualności i kielkujące pod ciepłymi promieniami serdecznego z niemi obojętności nasionka przyszłej miłości dla ludzi.

Błogosławiona to praca, która nasiona takich uczuć w małych duszyczkach zasiewa!...

Co do innych przyczyn, to najglówniejszą jest tęsknota małych tych więźniów za przestrzenią, słońcem i zielenią ogrodów. Dzieci bowiem niezamożne warszawskie są rzeczywi-

stymi więźniami, zamkniętymi w ciasnych, nieprzewietrzanych izdebkach, lub w studni głębokiej na 4—5 piętr, najopaczniej, dzięki chyba jedynie tradycji, zwanej przez Warszawian *podwórzem*.

Słońce i powietrze mogłyby się tam dostać chyba tylko przez kontrabandę, gdyż urzędowo, z podwórzy naszego miasta, na zawsze zostały wygnane.

Matki tych dzieci, wobec nawału zajęć domowych, nie mają czasu na przebywanie codzienne w ogrodach, gwoździ zabawie swych pociech; innym brak różnych szczegółów toaletowych i przez wstyd, choć fałszywy, lecz aż nadto pojęciami dzisiejszemi usprawiedliwiony, nie mogą uczęszczać do ogrodów publicznych. Nie wpuszczonoby ich zresztą!

Jakaż więc ulgą dla tych wszystkich matek jest posyłanie codzienne dzieci do ogrodu, gdzie mają zabawę, ruch, opiekę i świeże powietrze. Z jaką przyjemnością słuchają sprawozdania ich po powrocie: jak czas spędziły!

Oto, co mówi ośmioletnia Józia, córeczka mojej praczki:

— Mamusiu — opowiada, z oczkami radością i ożywieniem błyszczącymi, — dziś sam pan gospodarz ogrodu pogłodził mnie i pochwalił, że zgrabnie rzucam kółeczko i że sukienkę mam czystą i głowę porządnie uczesaną. Bardzo, mamusiu, lubię, tego naszego pana gospodarza, bo strasznie dobry dla nas!... Kapelusze zdejmuję, kiedy się z nami wita, albo jak odchodzi i tak pięknie do nas mówi!...

— A cóż dziś wam mówił? — pyta matka.

— Kiedy mamusiu, nie mogę wszystkiego poskładać, nie spamietam, ale w głowie to mi wszystko siedzi.

— Ja powiem — odzywa się starszy Bolesław, — bo stałem blisko. Pan gospodarz mówił, że tylko te dzieci będzie kochał, które będą miały czystości ubrania. Choćby — powiada — najbiedniejsze były, aby czyste i twarze, i uszy, i ręce czyste, i takie, co nie mówią brzydkich wyrazów i co się z sobą nie kłóca, bo — mówi — kto lubi koło siebie czystość i czystość w mowie, to i duszę ma czystą.

Czyż wobec tej jednej chociażby przypadkowo podsłuchanej rozmowy, potrzeba się rozszerzać nad znaczeniem społecznym, pedagogicznym i higienicznym „Ogródków dziecięcych”?

Z „Ogródków” tych, prowadzonych pod serdeczną opieką ludzi światłych i zaonych, a z pomocą rozumnych przewodników zabaw, spłynie złoty promień kultury nie tej, mającej na względzie zdobycze materialne, lecz wyższej kultury ducha, dla pozbawionych jej dotąd mas, co więcej, będzie to pomost spojony trwałym cementem miłości, a zarzucony nad przepaścią duchową, rozdzielałą dwa wrogie dotąd obozy.

Gospodarzem „Ogródka dziecięcego” zowie się opiekun honorowy, który nim zarządza.

Dzieci dzielą się stosownie do przestrzeni, na partye. Zabawy z każdą partyą prowadzi przewodnik, lub przewodniczka.

Starsi, tak chłopcy, jak dziewczęta, bawią się oddzielnie; najmłodsi tylko bawią się wspólnie. Każdy „Ogródek” ma swego *kierownika*, do którego należy organizacja zabaw; on układa plan gier dla wszystkich partyi i czu-

wa nad ich wykonaniem. Jednym słowem kieruje całym tym ruchem.

Prócz tego, każdy ogród, posiada swego lekarza. Obowiązkiem jego jest być obecnym przy zabawach. Dzieci są ważone pierwszego dnia przybycia, następnie co miesiąc, dla dokładnego sprawdzenia fizycznych korzyści „Ogródków.”

Gry są następujące: palant i wszelkiego rodzaju gra w piłkę, skakanie przez sznur, chodzenie na szczudłach, gra w serso, śpiew i inne gry zbiorowe.

Zabawy trwają od godziny 4—8 wieczorem, lecz na zmianę. Pierwsza grupa bawi się od 4—6, następnie odchodzi. Przybywa druga i ta pozostaje do godziny 8-ej.

Kilka dni temu zwiedziłam ogródek „pod Sobieskim.”

Dzieci mają tam ogromną przestrzeń, co dla wzroku i płuc ma ważne znaczenie, dużo zieleni i drzew.

Sąsiedztwo przytem Łazienek, bliskość Wisły, piękne widoki, czynią tę miejscowość nad wszelki wyraz odpowiednią.

Gospodarzem „Ogródka” jest znany przemysłowiec i filantrop, p. Ludwik Brauman.

Organizację zabaw prowadzi p. Józef Przyłuski, przełożony szkoły ze slójdem, który specjalnie badał zagranicą gry i urządzenia „Ogródków.”

Zabawy idą ochoczo. Tysiąc główek przeważnie jasnych, faluje na tle zieleni.

Zaprosiłabym tu wszystkich zgorzkniałych pesymistów, aby poznali, gdzie szukać odrodzenia dla dusz złamanych życiem...

Szkoda, iż „Ogródek dziecięcy” w ogrodzie Saskim, gdzie Dr Józef Tchórzniński gorliwy i wytrawny działacz na tem polu (autor świeżo wydanej, niewielkiej rozmiarami, a tak bogatej w treść książeczki p. t.: „W otchłani”) jak również „Ogródek” przy ulicy Agrykola, którego gospodynią jest znana z prac na polu pedagogii autorka p. Aniela Szycówna, nie mogą się pochwalić tak szczęśliwymi warunkami miejscowymi, jak Ogród „pod Sobieskim”.

Słabą stroną instytucji tak ze wszech miar zasługującej na rozwój jak najpomysłniejszy, jest zbyt skromna płaca pracowników.

Przewodnik pobiera 20 rb. miesięcznie, kierownik 30 rubli. Stanowczo zamało, jak na dzisiejsze czasy i rodzaj pracy. Wprawdzie praca ta trwa tylko 2 godziny, nie licząc czasu na pójście i powrót, jest jednak bardzo wyczerpującą ze względu, iż dzieci tych, są tłumi, a żadne z nich nie umie się bawić i uczyć trzeba każde oddzielnie.

Ileż męki np. kosztuje przewodniczkę, nauczanie dziewczątek rzucania i chwytania kółka, skakania przez sznur, chodzenia na szczudłach, gdzie czynnie kierować trzeba szczudłami, ze stojącą na nich kilkunastoletnią dziewczynką.

A cóż dopiero mówić o kierownikach, których organizm w ciągu tych kilku godzin, wyładować musi ogromny zasób energii, zdrowia i nerwów.

Obmyślanie planu zabaw dla tysięcy dzieci, kierowanie nimi, czuwanie nad wypełnieniem planu, przebieganie znacznych przestrzeni dla ciągłego kontrolowania wszystkich partyi, to

przecież praca nie lada, a wynagrodzenie stosunkowo skromne.

Nie należy pomijać tego ważnego względu, iż przewodnicy i przewodniczki niszczą ogromnie przy tych zajęciach obuwie i odzienie.

Przewodnicy, pełniący swą służbę na Woli i na Pradze, otrzymują na zapłacenie tramwaju, ale czas dla ludzi pracy to pieniądz, a więc za czas stracony na przejazdy, powinno być dodatkowe wynagrodzenie.

Wszak każdy zrozumie, że pedagogiczne znaczenie „Ogródków dziecięcych” polega li tylko na jak najszerzym oddziaływaniu przewodników w kierunku umoralnienia całych tysięcy maleńkich ludzi.

Dla osiągnięcia więc tak ważnego celu, inteligencja i pewne wyrobienie pedagogiczne muszą być koniecznym warunkiem przyjęcia przewodnika przez Zarząd. Tymczasem mała skala wynagrodzenia, z konieczności i skalę wymagań do *minimum* obniża.

Co do innych maleńkich usterek powiedziałabym, iż przewodnicy, a szczególnie przewodniczki przeskoczyłyby za jednym zamachem kilka stopni dzielącej je od dzieci obojętności i przywiązałyby je do siebie, gdyby postarały się poznać imiona i po imieniu je nazywać. Odebrałoby to zabawom cechę urzędową, a nadało familijną, co jest bardzo ważne.

Maniu, Zosiu, Józiu brzmi o wiele serdeczniej, niż wołanie np. „Ty” lub „Dziewczynko”, źle trzymasz kółko... i t. p.

Zdobycie zaufanie i przyjaźń dzieci, to znaczy zdobyć wpływ nad nimi, co musi być najdroższym celem przewodnika zabaw.

Zarząd „Ogródków dziecięcych” ma podobno zamiar urządzić dla młodzieży szkolnej „Ogródki” w kilku punktach miasta.

W ten sposób młodzież podczas przerwy w lekcjach, mogłaby codziennie uczęszczać z przewodnikami do „Ogródów”.

Projektowi temu, przyklasną zapewne szczerze, tak przełożeni zakładów, jak i rodzice.

Wanda Grot-Bęczkowska (Korotyńska).



Julia Terpiłowska.



PRYZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Jur wpatrywał się w nią coraz pośpiej- szym wzrokiem, a w oczach mu przeblyski- wały takie iskry nerwowego rozdrażnienia, jak elektryczne zygzaki w chmurze, gdy za chwilę ma się zerwać burza.

— Więc ostatecznie i stanowczo — rzekł chropowatym, jakby ochrypłym głosem, — pa- ni życzeniem jest, abym był szczęśliwym z panną Mewą.

— Życzę panu szczęścia z całego serca, — odpowiedziała z mocą.

— Z panną Mewą? — powtórzył z przyci- skiem.

— Tak, — odpowiedziała spokojnie.

— I będzie pani rada, jeśli się z nią ożenie?

— Będę rada.

— Szczerze?

— Z całej duszy!

Jur wstał; oczy mu gorzały ponurym i złym blaskiem.

— Czy nie zechciałaby pani — rzekł przez zaciśnięte zęby, — posunąć uprzejmości swej dla mnie do tego, aby mi ułatwić porozumienie się z panną Mewą?

— Owszem — odpowiedziała łagodnie, — obiecałam jej nawet powiedzieć panu, że ona przed wieczorem pójdzie się przejść w stronę Dziecina; więc może pan spotkać się z nią na drodze.

— A! obiecała jej pani... Ale dla czegoż na drodze? Możeby lepiej w parku, na pewnej pamiętnej dla niej i dla mnie kłodzie spróchniałego drzewa, w otoczeniu mchów, paproci — i tym podobnych romantycznych akcesoryów?

Klary nie zastanowił wyraz gorzkiej ironii w jego głosie i ust układowie. Była już wyczerpana i jakby odurzona — i pragnęła prędzej skończyć. Więc wstała, podała mu rękę i rzekła zcicha:

— Dobrze; dam zaraz znać Mewie, aby wyszła do parku. Do widzenia!

Jur przyciął usta; milcząc, ścisnął jej drobną rękę tak, że mało nie krzyknęła — i szybko odszedł w stronę dróżki, wiodącej przez łąkę do Dziecina pod pałacowym parkiem.

A Klara pobiegła na plebanie, wpadła do swego pokoiku, i szybko, jakby ostatnim wysiłkiem, nakreśliła na kartce:

„Droga Mewo! Jeżeli chcesz dziś jeszcze pomówić z panem Kalinieckim, to wyjdź zaraz do parku. Spotkasz go przy zwałonej brzozie, tam, gdzie widzieliście się przeszłym razem. Twoja Klara.“

Wysłała chłopaka z kartką do pałacu, — i rzuciła się na wazkie białe łóżeczko, zaciśnawszy ręce nad czołem. Tak się jej chciało spocząć — spocząć — spocząć...

Ale w tej samej chwili zapukano do drzwi. Dziewczynka od chorej Kalasantowej przybiegła z płaczem, że matce zrobiło się gorzej i woła na gwałt panienki.

Więc panienka zerwała się, schwyciła lekarstwo, i co tchu za dziewczynką pospieszyła.

Jur siedział w parku na zwałonej brzozie, łokcie wsparł o kolana, palce wsunął we włosy — i mówił do siebie:

— Chce się jej koniecznie naśladować owe Tekle i Agnieszki, które wołały same iść w ogień, niż rzucić weń szczyptę kadzidła... I myśli może, że ją podziwiam?... Co prawda, chwilami mi się zdaje... Ależ nie! to żaden heroizm! to egzaltacja i upór!... Więc niech ma, czego chciała — ożenie się z Mewą!... Jeżeli Mewa woli własną strzechę, niż cudze plafony, to podzielę się z nią moim kawałkiem chleba, i będę usiłował przywiązać się do niej chociaż takim uczuciem podlejszego gatunku, jakie ona rozbudzać umie... a później, kiedyś, podziękuję świętej Klarze — i powiem jej, że kocham moją żonę, jak wilk — wilczycę... A święta Klara zrobi się blada, jak opłatek — i chwyci się ręką za serce... Do-

brze! chce cierpieć — niechże cierpi!... Ożenie się z Mewą!...

Zaszeleściły jedwabne spódniczki, — Mewa podbiegła cichym krokiem kotki, siadła obok Jura i odjęła mu ręce od czoła.

— Czemuż w tak głębokiej zadumie?... — spytała półgłosem.

Jur dotknął jej ręki ustami, usunął się trochę, robiąc jej miejsce — i rzekł:

— Mówiła mi panna Klara, że hrabina Wszelaczyńska proponuje pani z wyrafinowaną złośliwością podrzędne stanowisko w swoim domu?

— Ach, tak! — odparła melancholicznie, — dziwne bywają ironie losu!

— Ale pani ma życzliwych, którzy przed okrucieństwem losu mogą panią zasłonić, jeżeli pani pozwoli.

— Jeżeli pozwolę? Ależ ja teraz bardziej, niż kiedy, potrzebuję sympatii, współczucia, serdecznego ciepła... Ach, panie Jerzy! pan nie wie, jak jestem nieszczęśliwa...

Nagłym ruchem przechyliła się ku niemu — i szlochając, oparła głowę na jego piersiach.

— Teraz bardziej, niż kiedy — powtórzyła wśród łkań nerwowych, — pragnę mieć dyskretnego powiernika... wiernego przyjaciela... opiekę delikatną i braterstwo serdeczne...

Jur usunął się znów nieznacznie, aby podnieść upuszczoną chusteczkę — i całując jej rękę, rzekł:

— Panno Mewo, niech się pani uspokoi, i posłucha mię z uwagą.

Mewa otarła oczy i podniosła je ku jego twarzy z minką grzecznego dziecka, które wygląda obiecane cukierka. Jur mówił zwolna, dobitnie, patrząc trochę w bok, na brzozową gałązkę, z której obrywał liście:

— Jeżeliby pani zechciała i potrafiła pogodzić się ze skromnymi warunkami mego bytu, jabym się postarał zmodyfikować je o ile mej możności w tem, coby mogło udogodnić pani życie; a wtedy mam nadzieję, że pani mogłaby mieć los znośniejszy pod własną strzechą, niż pod cudzym dachem. Czy w tych warunkach zechce pani powierzyć mi swą przyszłość?

Mewa, która pragnęła i oczekiwała tylko wyznania miłości, przeciągnęła twarz z wyrazem zawodu i precedziła przez ząbki:

— Pan mi proponuje pozycję gosposi w Zagrodzie?

— Tak; bardzo skromną, ale zupełnie niezależną — odpowiedział, — patrząc uważnie na kąciki jej ust, które zadrgały wstrzymywanym śmiechem. Mewa zaczynała znajdować rzecz niesłychanie zabawną.

— Więc — rzekła, — pan ma tak dobrą opinię o moich zdolnościach do gotowania barszczu i szycia sobie perkalikowych sukienek?

Nie wytrzymała — i parsknęła śmiechem, który potem rozsypał się całą srebrną gamą. Jur czekał, nie przerywając, a gdy przestała, rzekł spokojnie:

— Byłbym się spodziewał takiej odpowiedzi, a raczej nie byłbym podał do niej sposobności, gdyby nie panna Klara, która mi powiedziała, że... że dla pani życie ze mną byłoby znośniejszem, niż z panią Wszelaczyńską...

— Domyślałam się, że Klara taki wniosek wysnuła z tego, co jej mówiłam; ale nie przy-

puszczałam, że go w tej formie zakomunikuje panu — i... i...

— I że ja będę równie naiwnym, jak panna Klara? — rzekł, wstając.

— Nie to chciałam powiedzieć! — zawołała, chwytając go za rękę. — Panie Jerzy, niech pan nie odchodzi! niech mi pan da skończyć. Nie chcę, aby pan miał błędne pojęcie o moich motywach.

— Muszę wyznać, że na dowiedzeniu się o nich nie mi nie zależy, — rzekł chłodno.

— Tak bardzo pan się na mnie gniewa? — spytała z tkliwym wyrzutem.

— Nie gniewam się ani trochę, na to daję pani słowo! — odpowiedział z przekonaniem.

Doznawał w tej chwili takiej ulgi, jak wyratowany w samą porę topielec, który wmówił w siebie, że się powinien rzucić w studnię.

— I zostanie pan nadal moim przyjacielem? — pytała dalej czule.

— Będę gotów na usługi pani.

— Przyjaciół tak nie mówi... — skarżyła się, składając jakby do płaczu usteczka; — przyjaciel pyta łagodnie o owe motywy, których pan nawet poznać nie chce...

— Więc pytam łagodnie o owe motywy, jeżeli wypowiedzenie ich może pani zrobić przyjemność — rzekł z uśmiechem, siadając na poprzednim miejscu.

Czuł w sobie dziwną lekkość i swobodę, a dla niej doznawał jakby uczucia wdzięczności.

Mewa, westchnawszy, zaczęła:

— Bywają istoty, przez jakieś ślepe fatum na to przeznaczone, aby zawsze żyć w pętach jakichś kolizji życiowych... Serce ciągnie w jedną, a konieczność odciąga w drugą stronę... Jak się panu zdaje: coby powiedział świat i moja rodzina, i coby pan sam o mnie pomyślał, gdybym po raz drugi w ciągu jednego miesiąca zerwała ułożone małżeństwo?... Czy to rzecz możebna?

— Nie rozumiem, co pani chce powiedzieć?

Mewa zakryła oczy splecionymi rękoma — i mówiła pospieszonym, przerywanym półszepem:

— Ja jestem ofiarą takiej fatalności... Dla ojca mego — dla innych względów bardzo ważnych — byłam zmuszoną przewyciężyć ból i odrazę — i zaręczyłam się, a raczej dałam się zaręczyć... z Frydem Grüberem.

— Czy być może? — zawołał Jur, mocno zdziwiony. — Ależ ojciec pani ma utrzymanie zapewnione, a jakież mogą być inne względy?

Nagle uderzył się ręką w czoło:

— Ja — bo doprawdy zaczynam być bardzo naiwny! To przecież łatwe do zrozumienia: Fryd Grüber reprezentuje obecnie Obrowin z przyległościami!

— Panie Jerzy! — zawołała Mewa z nagłą stanowczością, podnosząc śmiało głowę. — Dlaczego pan mnie nie chce zrozumieć? Dlaczego pan nie chce uznać, że natura — czyli usposobienie — i druga natura — czyli nawyknięcie, są to względy pierwszorzędnej wagi? Pan przecież wie, że ja jestem delikatna i wypieszczona, wątła ciałem i słaba wolą; czyż jakbym mogła pracować, jak Malwa — która jest silna — i ubierać się, jak Klara — która jest święta?... Wszak powój nie może być dębem!

— Rzeczywiście—odparł,—takby mówił powój, gdyby miał mowę.

— Prawda? — przerwała z przejęciem.

— A mówiłby tak dlatego — dokończył, — że niema duszy... Ale ja coś zaczynam wpadać w metafizykę, jak panna Klara! Przepaszam panią — i uwzględniam jej motywy. Właściwie—powinienbym znajdować zupełnie słusznem, że pani nie chce poświęcić realnej strony życia dla idealistycznych mrzonek...

Zamyślił się głęboko, aż Mewa dotknęła jego ramienia — i mówiła dalej:

— A to czy pan rozumie, że i wymagania serca są jedną z koniecznych potrzeb życia, — i że serce, nie znalazłszy zaspokojenia w małżeństwie, szuka go...

Zatrzymała się, dobierając w myśli wyrazu, a Jur dokończył:

— Po za małżeństwem?... Żal mi głupiego Fryda!

Mewa oblała się gorącym rumieńcem.

— Znów mnie pan nie rozumie — zawołała, — a tym razem pańska omyłka jest dla mnie obelgą!

— Proszę mi wybaczyć; sama, mię pani w błąd wprowadziła.

— Bo pan mi nie dał skończyć; ja chciałam mówić o pańskiej przyjaźni, która... Ech! do czego ta komedia wyrazów, maskujących treść rzeczy?... Ja chciałam—ja chcę—ja pragnę kochać i być kochaną!... Ja bez tego zwiednę—uschnę—zginę, jak kwiat bez słońca i rosy!... Ja chcę dzielić myśli i uczucia z istotą, która tak myśli i czuje, jak ja; chcę—jak przed chwilą — wypłakać się czasem na kochającym sercu, — chcę oprzeć głowę na opiekuńczym ramieniu i zamienić gorący uścisk dłoni — ale nie więcej, — klęę się na pamięć mojej matki, że nie więcej!... Czy mi pan wierzy?

Słowa jej drgały wyrazem najszczerzego przeświadczenia — i Jur odpowiedział bardzo seryo:

— Wierzę pani najzupełniej w tej chwili, ale nie wierzę, aby w podobnych warunkach namiętność mogła pozostać platoniczną. Kobieta zameżna, zawiązująca stosunek tego rodzaju, wyciąga rękę już nie do jagód belladonny, ale do zwiniętego w koszu kwiatów aspika. Dziwnie to jednak się złożyło, że ja zapatrujący się na takie rzeczy jedynie z punktu moich osobistych pojęć o honorze, mówię to, co właściwie powinnyby pani powiedzieć—jej religia.

— O! ja nie jestem fanatyczką, jak Klara. Moja religia nie broni mi oddychać wonią kwiatów życia dlatego tylko, że rosną nad urwiskiem.

— Taka fanatyczka, jak panna Klara, powiedziała by niezawodnie, że samo już oddychanie zatrutą wonią jest moralnem samobójstwem.

— Któraż z nas podług pana ma rację?

— O tem chyba najlogiczniej byłoby sądzić po skutkach. Zdaje się, że najlepszą ocenę wartości zasad, są ich owoce — to jest postęпки.

— Więc dobrze! niech pan porówna moje życie z życiem takiej na przykład Klary: wszak ja żyję, jak motyl, który spija miody, a ona, jak liszka.

— Która jedwab przedzie—wtrącił Jur, zamysławiając się znowu.

— E! taki jedwab, to dobre ledwo na płaszcz od pyłu. Ale dajmy pokój symbolistycy, a mówmy lepiej o tem, co przepełnia serca... Pan wie, jak pragnęłam oddawna znaleźć przystań i oporę w prawdziwie bratniej duszy; więc pojmuję pan naturalnie, o ile bardziej pragnę tego teraz, kiedy... Ale przede wszystkim czy pan rozumie, jak ciężki gwałt zadać sobie muszę, aby wyjść za... za...

— Niemca—przedewszystkiem; — podchwycił Jur.

— O! to jeszcze najmniejsze.

— Tak? to pani ma krótką pamięć.

— Bo co?

— Bo pani zapomniała piosenki, którą z pewnością stara niania śpiewała kiedyś pani.

— Jakaż to piosenka?

„Wanda leży w naszej ziemi...”

— Wiem, wiem! — przerwała, „co nie chciała Niemca;“ ale i ja go nie chcę! cóż, kiedy muszę...

— Musi pani? hm!... Pani z pewnością nie poszłaby na stos dlatego, aby nie wrzucić weń szczypty kadzidła?

— Na stos? — zawołała, wstrząsając się, — okropność! Czyż jabym mogła pójść na stos? Pan ma dziwne pojęcie o moich nerwach!

— Hm... zapewne... ja sam obruszam się, jeżeli ktoś gotów jest pójść na męki dla jakichś tam przekonań... Właściwie, powinienbym znajdować, że pani i ja stanowimy dwie bliźniaczko-bratnie dusze...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ZAKWITŁY ZBOŻA.



Zakwitły zboża! Wonią pola dyszą,
Złocisty w słońcu ulatuje pył,
Patrz, jak pokłonem wielkim się kołyszą,
Patrz, jak się modlą południową ciszą,
By w zbożnej pracy nie zbrakło im sił!

Zakwitły zboża! Pójdźmy ścieżką—brzegiem,
Na przyszłe zbiory cieszyć się i plon,
Wkrótce kłos zwartym stanie tu szeregiem—
Patrz, ile życia przetrwało pod śniegiem,
Niczem mogiła dlań i zimy zgon!

Zakwitły zboża! Znowu cud się iści,
Polne nam kwiaty ścielą się do stóp,
Płynie rozhovor ptasząt—muszek—liści...
Dość bólów—tęsknot—wstrętów i zawiści...
O gdyby ziarno ciała zasiał w grób!

Może je chętnie przyjmie „rola Boża,”
W kłos się skryszkali mocą tajnych sił...
Patrz, ponad głową błękitne przestworza,
Lekko oddychać... Zakwitły już zboża,
Złocisty w słońcu ulatuje pył!

Bożymir.



POGADANKI PEDAGOGICZNE

Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu

Wandy Żeleńskiej.



IX.

Różnica między zasadą historyczną a zasadą historyka.— Jest wiele sposobów pojmowania prawdy, która jest jedyną.—Jednostka stopniowo wydobywa się z ucisku i zdobywa możność działania w świecie.

Mówiliśmy już, że ze strony fizycznej *uzdolnienie* wyraża się w ludzkości zwyczajem, ze strony moralnej obyczajem. Rozwija się ono na mocy pewnej zasady, zasada jest cementem, spójnią wszystko łączącą, filozofię, politykę, religię, obyczaje. Filozofia, w źródłosłowie swoim miłość mądrości znaczy; religia od *religo* (związuje, łączy). Zasada religijna w historii jest stopniem prawdy, z którego ludzie wysnuli i zastosowali zwyczaje, ustawy, formy rządowe, a wyrazili ten stopień prawdy—władzą. Władza jest ostatecznym wyrazem zasady życia. Zasada jest dogmatem religijnym dla każdego narodu. Jak kto pojął prawo Boże, taką stworzył zasadę. Inna rzecz zasada *historyka*, a inna zasada *historyczna*, jak też inną jest zasada osobista, cząstka prawdy przez kogoś zdobyta, a inną, wyższa prawda narodu i jeszcze wyższa prawda ludzkości i najwyższa, prawda Boża. Historyk może mieć tę lub ową zasadę, trzymając się jej, stosując do niej historię, staje się historykiem pragmatycznym. Gdy historia przedstawia zasadę ludu, staje się filozoficzną. Niepodobna, aby historyk zasady osobistej nie miał; każdy ją ma, tylko że ona powinna być ostatnią wynikłością przez historyka dla rozumu zdobytą. W historii objawia się przez dzieła rozumujące, a w życiu bieżącym przez sądy, przez doświadczenie i przekonania. Doświadczenie uczy nas jak wszystko oceniać mamy, a przekonanie objawia przyjęty kierunek. Prawda jest jedna, lecz sposobów pojmowania jej tyle, ilu ludzi na świecie. Ludzkość grupuje się wedle przyjętej zasady; ta przeważa, którą więcej ludzi uznaje. Ale chociaż zasad tyle, ile narodów, a nawet powiedzieliśmy ilu ludzi, można je przecież pod pewne działy podciągnąć. Główne zasady, rozwijające się w historii są: *dogmatyczna*, wyrażająca się władzą kapłańską, *teokracją*. *Towarzyska* czyli *socjalna*, *państwowa*, rozwijająca władzę rządu. Zasady dogmatyczne, towarzyskie, państwowe, w starożytności rozwijały się w porządku i wyłącznie prawie; gdzie była jedna, ustępowała druga. Mówimy *prawie*, bo w w życiu ludów nie ginie, nie się nie zatracą w zupełności; chociaż jedna zasada drugiej pierwszeństwo ustępuje, zawsze ślad jej, dla oka badacza, jest widocznym.

Te trzy kategorie zasad, które kolejno górowały jedna nad drugą, przechodzą ze świata starożytnego w świat chrześcijański i trwają do dzisiejszego dnia, ale podsycone nowym chrześcijaństwem pierwiastkiem. Na tle ich, obok nowych idei, rozwija się zasada

wolności, a przynajmniej nastaje otrząśnienie się z niewoli, najpierw osobistej, za pomocą wolności wewnętrznej, dalej, ze stanowej. Przez pracę ludów, przez przemysł, handel, stany zyskują polepszenie losu, wolność. Skoro się tylko stany otrząsnęły, występują narody, a im większa wolność w ludzkości, tem jaśniejszą zasada dogmatyczna. W historii, dogmat jest najwyższą prawdą religijną, objawioną ludowi albo ludzkości, strzeżoną, ogłaszaną i tłumaczoną przez wybranych i ich następców. Już z tego można poznać, że dogmatyczne zasady dziś jeszcze ludźmi kierują. Wszyscy wyznajemy albo przyznajemy prawdę nam objawioną, czy dawniejszą przez Mojżesza, czy późniejszą przez Chrystusa, czy przez Mahometa. Wszędzie widzimy duchowieństwo na straży i przy wykładzie tej prawdy stojące, zasady jednak nie zapanowały nigdzie na stałe, kościół zawsze musiał i musi walczyć z państwem i z sektami.

W jednej tylko chwili, w starożytności, widzimy pochłaniającą zasadę dogmatu; jest to czas przewagi teokracji, która najwybitniejszą jest w Indyach. Na czym polega tam przyjęta zasada? Oto na ubóstwieniu abstrakcji,—myśli, idei rozlanej w naturze i ciągle dążącej do wyzwolenia się z natury. Brahma tam odbywa kolejno wcielenia i kolejno z tych pozornych, znikomych kształtów cielesnych się otrząsa, a wraca do pierwiastku swojego bezkształtnego, bezosobistego. Kolejność wcieleń Brahmy, zastosowana do kast i do metempsychozy. Jak Brahma, tak i dusza ludzka musiała przejść zakres istnień, póki do najwyższej doskonałości nie doszła. Kasty Brahminów, wojowników, rolników, rzemieślników, wreszcie paryasowie, stanowili kolejność i stopniowanie wyzwolenia się, dając początek pewnej moralności i hierarchii społecznej. Brahmini, pierwsi w stworzeniu, najdoskonalsi w zapanowaniu nad umysłami swymi, (fakhirowie), sami tylko mają prawo znać księgi święte i rządzić innymi kastami. Oni mają uszanowanie dla wszelkiego życia, bo życie to, dalszym ciągiem życia Ojców. Odrebną moralność jest dla kast niższych, nawet w czci zwierzętom oddawanej zachodzi różnica. Na mocy idei wyzwolenia się ducha, uczą pogardy dla człowieczeństwa; im zupełniejsza zmiana warunków życia, tem ono doskonalsze. Ztąd fakhirowizm, uświęcający nawet samobójstwo religijne, z powodu zupełnego zerwania z naturą; gdzie niema pracy, tam utrzymuje się nieruchomość mas, ujednolajnienie wypadków.

Indye np. nie dają dowodu istnienia, nie mają historii; jeśli są tam wypadki historyczne, to z zewnątrz im przychodzą, od ludów sąsiednich, przyprływowych, zdobywczych.

W Egipcie również panującą jest zasada dogmatyczna, podobnie jak u Indyan, kasta księży włada: urządza wszystkie stosunki społeczne, ale już bywa ograniczona wszechwładztwem kasty królów i wojowników. Kastowe przepisy bywają nadwężone różnymi historycznymi wypadkami. I tak np. Mojżesz, owo dziecko sieroce po Nilu pływające, przypuszczony do kapłaństwa; Amazys z lichego pochodzenia, podniesiony do godności królewskiej;

oto objawy ruchu społecznego. Egipcjanie pojmowali Boga rozlanego w naturze, dlatego ubóstwiali przyrodę, nie ideę samą. Izys, Oziris, to bóstwa ich najwyższe, ciągle się odradzające; również dusza każdego człowieka, po trzech tysiącach lat miała się odradzać. Wszystko tu na wiecznym *trwaniu* oparte, sztuka też snadź na wieki obliczona; piramidy, obeliski, świątynie, wynalazki, fabryki, historia nawet Egiptu, to wszystko posagowe, poważne, starożytne. Egipt jest kolebką dogmatyczną społecznego mozaizmu, wyłącznie towarzyskich, społecznych egipsko-fenicko-greckich zasad. Jest więc przejściem z zasady dogmatycznej do społecznej i lepszej jeszcze teokratyczno-społecznej. Moralność jest tu dogmatem objawionym; nie zawsze kapłani rządzili, ale lud, królowie. Ztąd przejście do zasad towarzyskich.

Zasada towarzyska jest urządzeniem stosunków międzyludzkich, jest pojęciem formy stosunków, aby żyć jak najprzyjemniej i jak najwygodniej. Nazwalibyśmy zasadę tę, zasadą użycia, gdyby jednostkę miała na celu, nie ogół; ale, że ma głównie przed sobą cel zapewnienia owego spokojnego używania pewnym kółkom, stowarzyszeniom, miastom, republikom, a nie pojedynczemu człowiekowi, zwiemy ją więc *towarzystwą*; ona w społeczeństwie rozwija pojęcie władzy. A że starożytność była drapieżną, jednostka sama nie mogła marzyć o bezpieczeństwie, musiała się spływać z innymi, w celu obrony. Ponieważ w historii nie ginie, tylko się idea wyrabia, zmienia, kształci, więc i w zasadzie towarzyskiej istniała zasada dogmatu, i owszem ona sama wypłynęła z dogmatu, ale mu nie ustąpiła, nie poddała się, tylko w jego imieniu zawładnęła. Ideizm indyjski, to myśl oderwania od zewnętrżności, ubóstwienie abstrakcji; Brahma ta myśl najwyższa, wciela się i wciąż wraca do pierwotnego stanu; to samo widzimy w kastach i metempsychozie, a jak Brahma się kolejno wcielał, tak też i dusza ludzka przechodzi różne koleje, aż się znów znieśie z Brahłą. Porządek w wyzwaniu się Brahmy, jest zasadą moralności Indyan. Panteizm egipski (bóstwo w naturze) staje się w Grecji dogmatem, *antropomorfizmem*. (Antropomorfizm—Bóg na kształt człowieka, człowiek na podobieństwo Boga). Grecy bogowie, są jako ludzie, ztąd większa swoboda, większa równość, ztąd najdoskonalsza piękność formy w sztuce, ztąd najwznioślejsze badanie filozofów starożytnych, którzy się czują w prawie śledzenia tajemnic mytowych, ukrytych potęg każdego bóstwa będącego tylko *wyższym* człowiekiem, w naturze swojej. Tak pojęte bóstwo wyzwala z obowiązku doskonalenia się. Ludzie silni, bóstwa silniejsze; ludzie piękni, bóstwa piękniejsze,—zawsze o stopień wyżej. Bóg nie jest u nich innym od człowieka, tylko wyższym typem.

Ztąd zasada Talesa jednego z siedmiu mędrców w Grecji: „Znaj siebie samego,” znaczy „a poznasz naturę i Boga.” Ciągami tych badań umysł ludzki dorasta do mądrości. Sokrates graniczy z chrześcijańską nauką. Tam też, w Grecji, rozwijają się takie genjusze, jak Platon i Arystoteles.

Podobieństwo bóstw z człowiekiem, daje najbardziej ożywione skutki, ale uprawnia namiętności, które w ustach sofistów znajdują usprawiedliwienie. W Grecji, wśród tych dogmatów, władza z ręki kast przechodzi w ręce przemocy fizycznej lub umysłowej, ztąd powstają tyrani; przewaga kast, podział na demokrację i arystokrację.

Niema oznaczonej formy rządu; ludzie, jak i bogowie, rządzą się, jak chcą; każdy do władzy się ciśnie i każdy się przed uciskiem broni. Historia Grecji, to szereg walk; bohaterowie, minotaury, argonauci odgrywają swoje role, a najszczytniej w epoce wojen perskich odznaczają się rycerze greccy. Z czasem jednak rozwija się anarchia. Grecja ginie brakiem porządku. Z heroizmu, anarchii, rodzą się zdolności indywidualne i wyrabia się zasada państwowa. (Urządzenie zasad państwowych i towarzyskich. Państwo tych zasad organizmem; zasada państwowa, najbardziej u Rzymian rozwinięta, Rzymem zawładnęła).

Rzym miał te same, co Grecja, dogmaty heroizmu, też sama potrzebę użycia, z tą jedyną różnicą, że nie dla pojedynczych ludzi, ale dla Państwa pragnął on swobód. Stowarzyszone grupy, jednolitą, państwową obleczone skorupą. „Demokracja i arystokracja, urządzenie rodziny, wszystko ma cel jeden: dobro państwa. Ojczyzna państwem, a państwo wszędzie ojczyzną. Człowiek tam nie nie znaczył, jako człowiek, ani jako Rzymianin, tylko jako obywatel rzymski; żył i umierał dla państwa. Nie on był aktorem dziejowym, ale był nim zawsze Rzym. Religijny dogmat przechodzi w legalizm. Bóstwo z natury człowieczej, skupia się w rozumie, przedstawionym w ustawie, ustawa życiem duchowym Rzymu, on jej kolebką i świątynią. Ustawa i Państwo, władza najwyższa; tu nikt osobno nie występuje. Państwo jest kombinacją wszystkich władz, organizowaniem ich rozmaitych pierwiastków; plebejusze, patrycjusze, cenzorowie, konsulowie, wszystko idzie wybieralnością. Cezar, nie z tytułu przemocy, ale jako najwyższy urzędnik zawładnął Rzymem; świat cały Rzymu własnością. Gdy Cezar zawładnął wszystkie urzędy, przyczepiono pojęcie państwa do jego urzędu, on stał się państwem. Ludzkość chyli się do upadku, ginie nawet fizycznie, nastaje czas tyranii, zbrodni, nadużyć,—z tej otchłani wydzwignęło ludzkość chrześcijaństwo, nie ustawami swymi, ale nowym pierwiastkiem wolności, będącej zgodnością woli z możliwością. W starożytnym świecie, rozumiano wolność, jako swobodę czynienia co się komu podobało.

Chryścjanizm zwrócił się do pierwiastku woli, wskazał jej, że ma być wolną wolą, dobrą wolą. „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.” „Prawda uczyni Was wolnymi.” Chryścjanizm nie ograniczył się żadną formułą zewnętrzną, wymagał jedynie wewnętrznej pracy i doskonalenia się moralnego. Chryścjanizm zastało świat cały w niewoli, zaczęło się objawiać wolnością osobistą, wewnętrzną; taką była wolność męczenników, którym chodziło tylko o to, żeby nie zaprzeczyć się wiary. Była to wolność, bez możliwości, lecz wówczas nie

miał jej świat cały, dzielący się na niewolników niższego i wyższego stanu. Kiedy z jednej strony Bóg złożył pierwiastki wolności w duszy, a forma była czysto duchowa, idealna, tłumy barbarzyńców, przyplływające na rozbięciu państwa Rzymskiego, przyniosły nową historyczną formę dla chrześcijańskiej wolności,—była nią możność osobista. Jednostka wydostaje się z ucisku i zdobywa możność działania. Świat jednostkami wydobywa się na stanowisko; po męczenniku, barbarzyńcu, a potem pan feudalny. Feodalizm rozwija wolność jednostek, rozbudzając uczucie godności i honoru; uzdolnienie jednostek, wywołuje samowolę, za którą idzie nadużycie, pomimo dogmatu religijnego, który miał wole uszlachetnić. W tym półcieniu upływają wieki, wśród ogólnej niewoli, jednostki z ciężkim trudem zdobywają sobie *możność*.

W czasie wojen Krzyżowych, jednostki łączą się w korporacje i wytwarza się mieszczaństwo, powstaje *przywilej*, który staje się obroną pracy, handlu, sztuki, osoby i rozumu; przywilej był prawdziwym dobrodziejstwem w wiekach średnich.

Mówiliśmy, że wolność chrześcijańska rozwijała się na tle dogmatu, więc i on miał epokę przewodnictwa. Kościół był wśród barbarzyńców słońcem, około którego świat krążył, był władcą moralnym.

Od czasów Reformacji aż do czasów Rewolucji francuskiej nastaje coraz większa wolność stanów, coraz większa niepodległość rozumu. Państwa zreformowane, usiłują stany wydobyć z ucisku; rewolucja zdobywa równość dla wszystkich (we Francji). Zaczęto też upominać się o dobre ustawy, odpowiednie naturze człowieka i jego pojęciu o wszechdobrem. Upada jednostkowa niewola. Każdy chce zdobyć swobodę pod względem przekonań i czynów.

Trzebaby odzyskać *możność* zaprzeczoną na każdym kroku przez świat starożytny, nie można jej jednak zdobyć od razu. Następuje nowa era wyzwolenia i swobody w działaniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



NASZE DZIECI.



IV.

Dziecko leniwe.

Było to kilka lat temu. Siedziałem u państwa R., dobrych swoich znajomych, gawędząc o tem i owem. Wtem wbiegł do pokoju sześciolatek synek gospodarstwa, chłopiec o miłej i ujmującej powierzchowności i o dużych ciemnych oczach, z których przeglądała wrodzona inteligencja.

— Dzień dobry, Janku!

Odpowiadając na moje pozdrowienie, chłopiec nadstawił swoją różową buźkę do pocałunku, i wnet zawiązała się między nami wesoła gawędka. Rozpytywałem o jego zabawy i rozrywki, o przyjaciół, potracając od czasu

do czasu, trochę poważniejszą kwestję, aby bliżej poznać się z jego umysłowością.

Po chwili chłopiec wybiegł z powrotem do przerwanej zabawy, odbywającej się w ogrodzie przy domu, ja zaś z zadowoleniem, jakie odczuwać musi każdy, kochający naszych Milusińskich, zacząłem chwalać malca, zwracając uwagę na jego inteligencję.

— My też chcemy zacząć go już uczyć—rzekła matka, zadowolona z pochwał, jakie spotykały jej jedynaka.

— Czyż to jeszcze nie zawcześnię? Wszak to jeszcze takie maleństwo—odrzekłem.

— Ach, nie—przerwał mi ojciec—trzeba korzystać z dobrych jego chęci; kto wie, co będzie później.

Daremnie zwracałem uwagę państwa R., że im wcześniej dziecko zmuszane jest do systematycznej umysłowej pracy, zupełnie jeszcze nie odpowiadającej jego rozwojowi, tem łatwiej się zniechęca do nauki, a nawet zaczyna uważać ją za ciężką dla siebie niewolę. Próżno wskazywałem na pogadanki, jako na najłatwiejszy i najmiłszy dla dziecka sposób rozwijania jego władz umysłowych. Rodzice uparli się wziąć nauczycielkę do chłopca.

Minęło około pięciu, sześciu lat od tej rozmowy. Interesy zmusiły mnie do przeniesienia się do innej miejscowości. Janka straciłem zupełnie z oczu i wiedziałem tylko to o nim, że chodził do gimnazjum. Szczęśliwym jednak trafem zdarzyło mi się przejeżdżać przez miasto, gdzie przebywali państwo R. i nie omieszkalem naturalnie wstąpić do nich.

Wspominając dawne lata, mimowoli skierowałem rozmowę na Janka.

— A cóż z nim słychać?—pytałem.

Na te słowa matka spochmurniała, jakby ją zabolęła niezagojona niczem rana, i z gorczy zaczęła mi opowiadać, że malec siedzi już drugi rok w wstępnej klasie, a mimo to przynosi po dawnemu same dwójki i palki.

— Nie może pan sobie wyobrazić—mówiła—jaka zaszła w nim zmiana! Z dawnego miłego i rozgarniętego chłopca zrobił się skończony leniuch, czujący wprost wstręt do nauki. Niczem nań wpłynąć nie można, ani kara, ani nagroda; nic go nie wzrusza, nic go nie obchodzi po za łobuzerką.

— Czyż to możliwe?—spytałem zdziwiony i odtworzyłem sobie w pamięci milutką twarzyczkę chłopca i jego ciekawie wpatrzone we mnie oczy, zdradzające dużą inteligencję. Naraz, przez zwykłe kojarzenie pojęć, przyszła mi na pamięć nasza dawna rozmowa. Chcąc się przekonać, jakie przyczyny spowodowały taką zmianę, zapytałem:

— A może źle był przygotowany do gimnazjum?—to ogromnie zniechęca dzieci do pracy.

— Gdzież tam! uczył się przecież od szóstego roku życia.

I pani R. zaczęła mi opowiadać cały przebieg jego nauki. Początkowo wziął się do pracy z ogromną chęcią, robił nieraz więcej, niż mu kazano. Nauczycielka, osoba dużej łagodności i rozumnego taktu, tak umiała pokierować chłopcem, że uważał sobie za przyjemność odbywanie lekcji. Nigdy prawie nie było słychać najmniejszej wymówki, żadnej skargi; kara była zupełnie zbyteczną. Jeżeli

w czem zawinił, nauczycielka starała się w sposób łagodny wytłómaczyć zły jego krok,—słowem, postępowała z nim tak rozumnie, że malec był w niej formalnie rozkończony i gotów na wszystko, co mu każe.

Jak na nieszczęście choroba nauczycielki zmusiła mnie do przyjęcia innej. Była to osoba, pracująca, jak się okazało, na polu pedagogicznym wyłącznie tylko dla chleba. Było jej wszystko jedno, czy uczeń kochał ją lub nie, czy słuchał jej opowiadania z zainteresowaniem lub znużeniem, jedynym celem jej działalności było to, żeby chłopiec nauczył się na pamięć zadanej lekcji bez względu na to, czy ją rozumie lub nie. Umysł Janka zaczął się widocznie coraz bardziej nużyć, kary i gniewy nauczycielki nie pomagały, zniechęcenie przychodziło coraz większe.

Ze smutkiem patrzyłam na to, mówiła dalej matka, ale ponieważ czas egzaminów miał nastąpić w blizkiej przyszłości, zmuszoną byłam do zniewalania chłopca do lekcji gwałtowniejszymi środkami. Lekcja odbywała się pod przymusem i Janek wyuczał się na pamięć rozmaitych formułek i reguł, nie bardzo chętnie, co prawda, wnikając w ich treść. O ile dawniej nauka była dlań przyjemnością, o tyle teraz ciężką niewolą, od której wykrywał się wszelkimi możliwymi środkami.

Myślałam, że nowość zrobi swoje, że szkoła wpłynie nań dodatnio, pobudzając jego ambicję, i rzeczywiście w pierwszych tygodniach Janek z całym zapałem wziął się do pracy, ale na nieszczęście trwało to bardzo niedługo. Znowu powróciło dawne lenistwo, i jedyną odtąd jego przyjemnością stało się płatanie figłów.

W tej właśnie chwili Janek wrócił z gimnazjum; przyjrzałem mu się baczniej: z dawnego miłego i o przyjemnem wejrzaniu chłopca nie zostało ani śladu. Oczy jego patrzyły złośliwie, i znać było, że jedyną jego myślą jest, gdzieby wyrzucić figla.

Przywitał się ze mną chłodno, a na pytania odpowiadał niechętnie, jakby onieśmielony lub znudzony moją rozmową.

— Szkoda chłopca!—pomyślałem, i w tej chwili przyszedł mi na myśl mój stary nauczyciel, który często powtarzał:

— Dużo można z dzieci zrobić, tylko dawać im rozumne i dobre początki. Od tego zależy cała ich przyszłość.

I zaczęły cisnąć mi się całe szeregi refleksyi na temat dobrych początków. Ileż to, myślałem, wychowanek naszych instytucyj, z ukończoną niby edukacją, a naprawdę dopiero zaczęta, młodych, niedoświadczonych, wprost z ławy szkolnej wstępuje w szranki, bodaj najważniejsze i najświętsze, pragnąc być przewodniczkami młodziutkich dusz. Dobrze jeszcze, jeżeli kieruje nimi miłość i poświęcenie, ale jeśli brak tego!... Nie, nie trzeba nam samozwańców! Zbyt to święta ofiara, aby przystępować do niej z nieczystym sercem i z zbrukanemi rękoma! Aby przystąpić do niej, trzeba oprócz uzdolnienia i ukształcenia być kochającą, cierpliwą i pełną poświęcenia, trzeba świecić własnym przykładem! A to ostatnie bodaj najważniejsze! Jeżeli sami wiecznie pytamy: „dlaczego?“, czyż możemy odebrać to prawo dziecku? Nie zabijajmy pierwszej iskry jego myśli, i zawsze

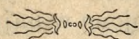
tlómaczmy dziecku, dlaczego tak ma postąpić, a nie inaczej; niechaj rozkazy nasze nie będą świętymi dlań przez poparcie ich naszą przewagą fizyczną, ale rozumowo starajmy się je wytłómaczyć. Ucząc dziecko, naprowadzajmy je samo na rozwiązanie prawidła, niechaj samo pod naszym tylko kierownictwem dochodzi do wszystkiego, niech na każde pytanie, na każde „dlaczego” odpowiada samodzielnie.

Lekeya dzisiejsza powinna przygotować do jutrzejszej, jedno prawo do odkrycia drugiego. Przez to przyzwyczajenie do kombinacji i do kontrolowania swoich i cudzych myśli, dziecko nabiera zamiłowania do pracy umysłowej, która wydaje mu się, dzięki zainteresowaniu się nią, przyjemnością, a nie karą. Podczas gdy mechaniczna praca umysłu, której celu dziecko pojąć nie może, zniechęca je, praca rozsądnie kierowana bawi i zachęca.

Słusznie mówi p. Kowerska, że „dziecko raz zakosztowawszy rozkoszy, jaką daje każda zdobycz intelektualna, szuka sposobności do nowych odkryć i jest niemi uszczęśliwione, a nauka staje się zdrowem i radosnem rozwijaniem sił umysłowych”.

Pamiętajmy zatem, że wszelkiego rodzaju kary, przymus, zabijanie samodzielności, stosowanie dedukcji zamiast indukcji, zabranianie podczas lekcji wesołości i śmiechu i nieumiejętność zainteresowania dziecka do wykładanego przedmiotu, robi z nauki nie radosne i zdrowe pożywienie dla ducha, ale najcięższe kajdany, zabijające wszelki dalszy rozwój.

Henryk Rygier.



Sentymentalizm w wychowaniu.



(Dokończenie).

Człowiek dzisiejszy, to barbarzyńca o wysubtelnionych cywilizacją zmysłach; potworny jego egoizm zakryty jest tu i ówdzie strzepami form towarzyskich, które on jednak odrzuca natychmiast, gdy mu tylko cokolwiek zawadza; a wówczas odsłania swe ohydne oblicze samolubstwo, streszczające się w słowach: „Usuń się, abym zajął twoje miejsce!” Dość, aby teraźniejszego człowieka coś wytrąciło z jego zwykłych warunków, aby natura jego odsłoniła się w całej brutalnej nagości. Próbkę tego widzimy w podróży koleją, gdzie grzeczność towarzyska zdaje się nie obowiązywać wcale, lub w czasie wielkich katastrof żywiołowych, do jakich należał np. taki pożar Bazaru paryskiego, gdzie wytworniejsi mężczyźni, aby się prędzej wydostać z ognia, uderzali łaskami po głowach kobiety, z którymi może przed chwilą prowadzili flirt subtelny.

Wychowanie, wytwarzające podobny typ człowieka, prostą drogą prowadzi ludzkość do moralnego zdziczenia i zupełnego upadku. Cóż pomogą wszelkie reformy społeczne, jeśli jednostka ludzka pozostanie taką, jaką jest obecnie: samolubną i bez woli? Ludzkość nie może jednego pięknego poranku odrodzić się

cudem, pod wpływem li tylko zmiany stosunków społecznych, potrzeba na to długiej pracy przygotowawczej, czyli, że reformę społeczną musi poprzedzić reforma moralna, która powinna mieć podstawy w wychowaniu. Dojrzałych ludzi trudno odmienić; widzimy jak niewiele dotąd zdziałały stowarzyszenia etyczne, rozsiane w Anglii, Niemczech i Francji; dziecko jest nieskończenie podatniejszym materiałem! cała więc baczność powinna być skierowana na wychowanie młodzieży.

Ale aby reformę wychowania oprzeć na racjonalnych podstawach, mających trwałość, powinniśmy przedewszystkiem zadać sobie pytanie, ku czemu mamy dążyć i jaki jest właściwie cel wychowania? Najbardziej wyczerpującą odpowiedź da nam na to religia i historia, — pierwsza a priori, druga a posteriori. Religia przez usta Chrystusa stawia na pierwszym planie wysiłek moralny, w celu osiągnięcia coraz wyższego udoskonalenia duchowego: „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec mój niebieski doskonałym jest, — bezstronne zaś badanie dziejów ludzkości, przekonywa nas dowodnie, że społeczeństwa i narody, które w wychowaniu młodzieży nie stawiały im przed oczy żadnych wyższych ideałów, lecz jedynie względy doczesne, zmarniały i upadły bardzo prędko. Etyka chrześcijańska, dobrze pojęta, podporządkowuje potrzeby ciała potrzebom ducha, ale i tamte również uwzględnia; nakłaniając zaś do ciągłego duchowego wysiłku w celu doskonalenia się moralnego, jest dla ludzkości bodźcem do postępu w kierunku kultury moralnej. Kontrola ducha nad zmysłami, którą ona nakazuje, zapewnia znów tejże ludzkości zdrowie i siły fizyczne i chroni ją od zwyrodnienia.

Każdy, kto bada system dzisiejszego wychowania, zgodzić się musi, że powinno ono uległ gruntownej reformie. Chociaż pedagogika dzisiejsza nie wyszła z fazy empiryzmu i nie przeszła w stan umiejętności ściślej, jednakże doświadczenia z poprzednich wieków i pokoleń winny nam dopomóc w nakreśleniu nowego planu wychowania, który przedewszystkiem należy oprzeć na kształceniu woli, tej dźwigni moralnej. Brak woli, jest to choroba współczesna, której pedagogia powinna wytoczyć taką samą wojnę, jaką obecnie medycyna wydała gruźlicy. A ponieważ organem woli są mięśnie, więc nie zaniedbujemy ćwiczenia tego organu, bo to sprowadza upośledzenie w jego czynnościach, które są przejawami woli. Ciało musi być hartowane i przyzwyczajane do niewygód i braków, dlatego abyśmy się nie stali niewolnikami swoich potrzeb fizycznych. Duch zaś, aby miał panować nad ciałem, również wymaga hartowania, a to za pomocą znoszenia przeciwności i pokonywania przeszkód na drodze życia, mocno więc błędzi ten, kto dogadza wszelkim kaprysom i zachciankom dziecka, osłania je od najdrobniejszych cierpień i przeciwności, gdyż tem osłabia wolę i przyzwyczajają do sybarytyzmu.

Wola jest podstawą charakteru, więc jej kształcenie powinno stać na pierwszym miejscu, ale pozostaje jeszcze kształcenie umysłu, oraz kształcenie uczuć. Te ostatnie są motorem, poruszającym naszą wolę; czyny nasze w większości wypadków są wynikiem

uczuć, które nami powodowały w danej chwili, oraz wynikiem ich napięcia. Uczucie rozwija się przez rozbudzenie w dziecku przykładem i słowem pewnych popędów humanitarnych, przez rozwijanie w niem sympatii dla otaczających osób, wreszcie przez cierpienie, które nas uczy współczucia dla cierpień cudzych. Tylko ten, kto sam cierpiał, odczuje i zrozumie cierpienie drugich. „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen.“ W zachęcaniu dzieci do współczucia, więcej działa przykład, niż słowo, choćby najwznioślejsze; owszem, dziecko zbyt często karmione morałami, przesyca się niemi, staje się w końcu „zblazowanym.“ W potrzebie samo nawet potrafi wypowiedzieć kilka równie pięknych frazesów, jak te, które codziennie słyszy, a w przyszłości wyrośnie z niego człowiek w rodzaju tych, o których mówi Gabriella, że „na pamięć święte słowa umieją.“

Należy tu zaznaczyć, że nadmierną czułością odznacza się nasza literatura dla młodzieży; zwłaszcza panie piszące, z wyjątkiem zaledwie paru, grzeszą pod tym względem przesadą, która przechodzi nieraz w clikliwość. O ile pożądanem jest, by utwory literackie rozbudzały w młodych duszach szlachetne, podniosłe popędy, o tyle zbyt szkodliwym jest pielegnowanie chorobliwej czułości.

W kształceniu umysłu również powinniśmy zważać na rozwinięcie pewnej samodzielności. Wiadomo, że dziecko nigdy się samo nie nauczy chodzić, jeśli je wieszczę będziemy wodzić na pasku. Zadaniem dobrego nauczyciela jest rozbudzić w uczniu tak wielkie zamiłowanie do danej gałęzi wiedzy, aby później mógł sam puścić się bez trwogi trudną i ciernistą drogą ku jej zdobyciu. Niech uczeń wie, że jest to *jedyna droga naturalna*, wiodąca ku zdobyciu najwyższej prawdy.

Dziecko, kształcone wszechstronnie w ten sposób, na podstawach etyki chrześcijańskiej, mających trwałość niepożyta, urośnie z czasem na typ człowieka, który połączy w sobie harmonijnie rozwój fizyczny z rozwojem umysłowym i moralnym, — słowem, na jednostkę, która będzie umiała: chcieć i myśleć.

Kultura szlachecka wydała typ odpowiedni, który zaznaczył się w dziejach: był to człowiek silnych namiętności, lecz zarazem hartownej woli, człowiek, który umiał panować nad sobą, ale był często twardym i niemiłosiernym dla innych, szczególnie dla niższych od siebie pochodzeniem. Kultura mieszczańska wytworzyła jednostkę o wykształconym umyśle, o niezmiernie wrażliwych, przeczułowych nerwach, bez woli, miękką, ale w niektórych razach odznaczającą się popędami domowych lub dzikich zwierząt, stosownie do temperamentu.

Miejmy nadzieję, że wstępujący dziś na arenę dziejową stan czwarty, czyli lud, da ludzkości typ człowieka, jednoczącego w sobie dodatnie strony dwóch poprzednich typów, ale dołączy do nich pierwiastek uczuć humanitarnych. Tym sposobem powstanie jednostka, najbardziej zbliżona do ideału człowieka.

Lecz stanie się to wówczas, gdy stan czwarty utwierdzi się w przekonaniu, iż nie samym chlebem człowiek żyje.

Kobieta na Wschodzie.



W szeregu krótkich szkiców mamy zamiar, opierając się na pracach kilku nowszych autorów, a szczególnie na dziełku Jana Fauconney i Henryka Marini, dać obraz życia kobiety i jej stosunku do urządzeń społecznych na Wschodzie, oraz na dalekim Wschodzie.

Jest rzeczą nader ciekawą, że u nas po większej przynajmniej części o zwyczajach krajów egzotycznych krążą zabawne i wprost fantastyczne wersje.

Wszystko, co się odnosi do tajemniczego życia Wschodu, do poligamicznej instytucji małżeńskiej wyznawców Islamu, jest otoczone jakby gęstym woalem tajemnicy, pod którym podejrzewa się największe ohydy.

Tymczasem tak zgoła nie jest.

Poligamia na przykład, ustanowiona prawnie przez Mahometę, nie ma zgoła na celu rozpusty, czego dowiedziemy w poniższych szkicach, gdzie po ludach wyznających Islam, zrobimy też przegląd innych narodów.

I.

Kobieta w Turcyi.

Opinia, którą sobie w ogóle wyrobiono o położeniu kobiety tureckiej, jest prawie zupełnie fałszywą. Wyobrażamy sobie Turczynki, jako jakieś ofiary tyranii i zazdrości, skazane na życie w smutnych komnatach pod okiem ohydnych sług, uzbrojonych w pałki i batogi.

Czasami znów harem wydaje się nam jakimś miejscem rozkoszy, gdzie całe kohorty kobiet rozmyślają, jak uszczęśliwić jednego człowieka, swojego bezgranicznego władcę i pana.

Tymczasem religia i zwyczaje nader ostro osłabiają te europejskie idealne pojęcia.

Wszyscy ci, którzy bliżej zapoznali się z życiem wschodniem, szybko utracili wszelkie swe złudzenia. Nawet większość poturczonych Europejczyków, którzy dla przyjemności, czy też dla interesu przyjęli islamizm, nader prędko jeśli nie wrócili na łono kościoła katolickiego, to przynajmniej wrócili zawsze do monogamii chrześcijańskiej.

Bądź co bądź, jakkolwiek myślimy, źle czy dobrze o życiu Turczynek, nie wyobrażamy sobie, żeby był gdziekolwiek kraj, w którym kobiety od urodzenia bezczynne, ciekawe, leniwe, łakome na wszelkie przyjemności i zabawy, mogłyby tak bezgranicznie zadawałać swe zachcianki, jak Turczynki, spacerujące, bawiące się nieustannie, zarówno w haremie, jak i po za domem.

To życie pełne przyjemności jest w istocie tak ponętne, iż ręczyć można, że większość naszych pań nie zawahałaby się zamienić swego losu i względnej swobody na mniemane niewolnictwo Turczynki, gdyby lepiej знаły ich życie. Rzecz prosta, że mówimy tu o czysto *materyalnej* stronie życia. Pod względem moralnym i intelektualnym jest to zupełnie inna sprawa i gdy spojrzymy z tego punktu widzenia na byt Turczynek, zrozumimy znowu, dlaczego los ich tak nędznym się wydaje.

Wytłómaczmy sobie jednak jedno, że kobieta zamężna ma w całym państwie tureckim też same przywileje, co u nas, i że ma ona nawet prawo zabronić mężowi swemu wzięcia drugiej żony, jeżeli zastrzegła to sobie w kontrakcie ślubnym.

Jeśli zaś Turczynka zgodzi się na dzielenie domu z inną kobietą, ma prawo żyć zupełnie oddzielnie, nie należąc zgoła do żywych obrazów, tworzonych przez posłuszne niewolnice, gwoli rozweselenia pana domu.

Nie przypuszczajmy też ani na chwilę, aby damy tureckie zgodziły się spiewać i tańczyć dla zabawy swojego męża. Są to talenty niegodne w ich pojęciu uczciwej kobiety. Ale mają one prawo sprowadzać sobie do haremu Almee albo Sawazie i dawać widowisko dla innych kobiet.

Pan i małżonek, który ofiarował żonie jakieś niewolnice, nie może później względem tych niewolnic żadnych żywić zamiarów, gdyż niewolnice te, raz darowane, stały się osobistą własnością żony czy faworyty.

W domu tureckim są dwa mieszkania: z jednej strony mieszkają mężczyźni, z drugiej zaś kobiety i jeśli z jednej strony jest pan i władca, z drugiej niemniej wszechwładnie panuje „pani.“ Mąż składa żonie wizyty z całym ceremoniałem; tak samo są przyjmowani blizy krewni.

Ponieważ mąż nie jest nigdy z żoną czy z żonami, przeto przybywa, aby co najwyżej poważnie wypalić *nargile*, zjeść sorbety lub napić się kawy. Jest w zwyczaju, aby mąż oznajmiał naprzód swą wizytę. Jeżeli wreszcie znajdzie on przed drzwiami pantofle, to nie wchodzi, gdyż jest to znakiem, że żona przyjmuje swe przyjaciółki, które nieraz bawią przez dni parę.

Zupełna bezczynność, uważana za bezwstydną w całej Europie, tu jest objawem zupełnie normalnym i pod tym względem wszystkie kobiety tureckie są jednaki. Zamiłowanie do sztuki, wszelkie intelektualne spędzanie czasu, jest zupełnie nieznane ogółowi Turczynek.

Wszystkie kobiety są tam skazane na przymusowe *far niente*, całym więc ich zadaniem jest bronienie się od nudów wszelkimi siłami, spędzając też czas na nieustannych zabawach.

W bogatych haremach każda z kobiet posiada swój własny apartament, czasami nawet całe skrzydło domu, przyczem ma cały komplet służby tylko na swoje usługi. Panie więc zbierają się to u jednej, to u drugiej, bawiąc się rozmową, właściwiej plotkami, grając w różne gry, przypatrując się tańcom, pantomimom lub słuchając gry sprowadzanych artystów.

Spotykają się jeszcze Turczynki w kąpielu, w ogrodach, na spacerach, na huśtawce, lub w słodkiej bezczynności dumań w hamaku.

Jedną z ulubionych zabaw są różne figle płatane Murzynom i Murzynkom, których dręczenie stanowi jedną z ulubionych zabaw; co zaś do swobody wychodzenia na ulicę, to dla kobiet wolnych jest ona nieograniczona.

Mąż ograniczyć się może do narzucenia żonie przymusowej eskorty z niewolników, ale ostrożności te są wprost nieznaczające wobec łatwości przebrania i możliwości wyjścia z ką-

pieli lub z domu przyjaciółki w przebraniu i w masce.

Ta właśnie łatwość przebrania się i zwyczaj zakrywania twarzy daje Turczynkom większe pole do przeróżnych intryg, niż wielu Europejkom.

Wszystkie wesołe bajki, opowiadane wieczorami w kawiarniach, mają za temat najczęściej historie kochanków, dostających się w przebraniu kobiecym do haremu. Nie istotnie nie jest łatwiejszem, ale należy to raczej do bujnej pomysłowości arabskiej, aniżeli do obyczajów tureckich.

Muzułmanin nie lubi wiarołomstwa, chociażby dlatego, że w jego pojęciu kobieta tylko niepodzielnie może do niego należeć. Co zaś do podobnych intryg z Europejczykami, to są one nader rzadkie.

Wszelkie przyjemności za domem są jednak najwięcej przez Turczynkę poszukiwane, raz dlatego, że łacniej zadawała jej ciekawość i bezprzykładną dumę, powtóre dlatego, że raz będąc po za haremem, niczem nie kępuje swej swobody.

Kobiety tureckie nie lubią wychodzić same, to też można je widzieć zawsze grupami po dziesięć i więcej, przebiegające w godzinach popołudniowych bazy, napelniające głośnym swym śmiechem ulice.

Wiele czasu zabierają Turczynkom wizyty, które są trojaki: wizyty zapowiedziane lub żądane z góry, wizyty nieoczekiwane, wreszcie odwiedziny fantastyczne, nieraz u nieznanomych.

Gdy jedna lub kilka dam tureckich z jednego domu pragnie złożyć wizytę znajomym z innego haremu, oznajmia naprzód te odwiedziny przez eunuchów.

Wreszcie wystrojone w najparadniejsze ubrania, udają się te panie do swych znajomych, gdzie są zawsze skwapliwie przyjmowane, spędzając czas na rozmowie, paleniu, plotkach, zjadając ogromne ilości konfitur, owoców, popijając syropami i sorbetami.

Gdy nie ma uprzednich zawiadomień, nie potrzeba też wspaniałości wielkich tualet i Turczynki wpadają do swych znajomych niespodziewanie, bez świty, co nie wyklucza jednak pewnego ceremoniału i objadania się.

Nieraz znowu kilka dam wyrusza na wspólną wycieczkę, stukając do drzwi nieznanym osobom, oświadczając, że przybywają w odwiedziny. Gwałtem nieraz dostają się do mieszkania, ale rzadko kiedy bywają nieprzyjęte, tylko szczerzość przyjęcia w razie takiego najścia jest zależną od dobrego humoru i wychowania gospodyni tak szturmem zdobytego domu.

Spacerowanie są niezmiernie ożywione; wszystkie Turczynki grupami udają się za miasto, na wieś, gdzie ślicznym jest widok tych kobiet ustrojonych w lekkie woale i gazy, rozkwitających, jak setki kwiatów różnobarwnych na zielonem tle łąk. Tam też odbywają się najrozmaitsze zabawy, przedstawienia, pantominy, spiewy, tańce, pochody, wyścigi konne, zapasy, aż do godziny podwieczorku, wtedy koła kobiet zacieśniają się; siedzą one na ziemi i opuszczają zasłony, spożywając różne przysmaki, otoczone przez straż Murzynów i eunuchów, strzegących je od ciekawości niewiernych.

Udając się do kąpieli, Turczynki zmagają się na kilka dni naprzód, poczem przebrwują się w swe najwspanialsze ubrania, zrywają się wbrew zwykłemu trybowi życia, już przed wschodem słońca, udając się do oznaczonych kąpieli.

Tam dzień schodzi na ablucjach i festynach, na paleniu, zabawach, śmiechu, spiewach, a nieraz kończy się bijatyką i wzajemnym bombardowaniem się bananami i filiżankami pomiędzy przedstawicielkami odrębnych religii.

Aby dopełnić obrazu życia Turczynek, podaję niektóre prawa, które dotyczą kobiety tureckiej, a które są istotnie ciekawe:

Kobiety tureckie mogą posiadać wszelkie dobra i majątki osobiście, nawet po za własną męża.

Mają one prawo wszczynania procesów rozwodowych w określonych przez prawo wypadkach.

Mąż wszelako ma ten przywilej, że może wziąć rozwód, nie dając żadnych powodów, krom swej woli. Wystarcza mu powiedzieć żonie wobec trzech świadków: „Jesteś rozwiedziona,” a wówczas żona ma jedynie prawo do pewnej sumy, zastrzeżonej w kontrakcie ślubnym.

Gdyby mąż chciał żonę, z którą raz się rozwiódł, poślubić na nowo, musi czekać, aż ona poślubi kogoś, rozwiedzie się z nim, i dopiero wtedy może ją poślubić na nowo.

Istnieje nawet zwyczaj, praktykowany jedynie w bogatych rodzinach, aby w takim wypadku podstawiać fałszywego, słomianego męża, któremu za to płaci się pewną sumę.

Biedacy żenią się zwykle bez kontraktu pisanego, opuszczając się wzajemnie i schodząc znowu bez żadnych trudności.

Jakkolwiek poligamię uprawiają głównie ludzie bogaci, biedacy żenią się także z kilkoma kobietami dla interesu, aby żyć z ich pracy. Nieraz tacy pomysłowi mężowie mają w jednym i tem samym mieście po kilka gospodarstw, nie o sobie nie wiedzących.

Odkrycie takich tajemnic sprowadza komiczne powikłania, kończące się nieraz wygnaniem męża na bruk przez wszystkie żony naraz, gdyż prawo nakazuje mężowi żyć swe żony, pozwalając mu jednocześnie mieć ich ilość dowolną.

K. D.-S.



Dr. Antoni Estreicher.



Warszawski świat lekarski święcił w tych dniach rzadką uroczystość: jubileusz 50-letniej pracy lekarskiej jednego z kolegów swoich, dra Antoniego Estreichera.

Niewiele lekarzy warszawskich położyło tyle zasług wielkich a cichych, nie rozgłoszonych, co szanowny jubilat. O jego uczynkach wie uboga ludność Warszawy, na której pomoc przez pół wieku spieszył nie tylko bezinteresownie, ale niejednokrotnie wspierając jeszcze ubogich chorych datkiem ze swojej kieszeni.

Uczynny aż do zaparcia się siebie, poma-

gał niejednemu; to też nie dziwnego, że dzisiaj nie powozem, jak przed laty, lecz pieszo spieszy na wezwanie chorych.

Dom, który posiadał na Nowym-Świecie, zlicytowano mu właśnie za poręczenia na wekslach, które podpisywał na tysiące.

Spółeczeństwo nasze, gotowe zawsze chociażby co pięć lat święcić jubileusze aktorów i aktorek, obdarzając ich hojnie i wieńcząc w wawrzyny—powinno pomyśleć o należytem uczczeniu zasług jubilata-lekarza.

Nie jednemu, podobnie jak i piszącemu te słowa, ocalił on życie; przez pół wieku pracował na ukochanej przez siebie niwie z zaparciem się siebie, nie pamiętając o zabezpieczeniu sobie na starość spokojnej egzystencji, bez trosk i kłopotów.

Zawód swój uważał niejako za posłannictwo; posiadając umiejętność przynoszenia ulgi cierpiącym, czuł się w obowiązku o każdej porze być zawsze gotowym na wezwanie; nie odmawiał nigdy i nikomu udania się do chorego.

Na posterunku swoim lekarza stał dr Antoni Estreicher przez pół wieku, jako prawdziwy obywatel kraju, dzierżąc wysoko w swych rękach sztandar wiedzy.

Młodsze pokolenie lekarzy na nim wzorować się winno, aby osiąść ogólny szacunek i uznanie.

Ciężkim jest zawód lekarza—ale tem szczytniejsze jest należyte spełnianie przyjętych na siebie obowiązków społecznych.

Czcigodny jubilat urodził się w Krakowie w dniu 10-ym maja r. 1826-go, jako syn s. p. Aloizego Rafała, doktora medycyny, rektora Uniwersytetu krakowskiego, prezesa Towarzystwa naukowego i członka rządzącego Senatu wolnego miasta Krakowa; po ukończeniu nauk lekarskich w Uniwersytecie krakowskim w r. 1849-ym, odbywał studia kliniczne pod kierunkiem prof. Brodowicza i d-ra Dytla, a następnie po napisaniu dwóch rozpraw: „O chorobie nerek” i „O tasiemcu,” otrzymał w dniu 8-ym lipca 1853-go r. stopień doktora medycyny.

Do naszego grodu dr. Estreicher zawitał w r. 1853-im i po zdaniu egzaminu przed Radą lekarską, uzyskał zatwierdzenie stopnia doktorskiego.

Przez czas swej długoletniej praktyki lekarskiej dr. Estreicher zajmował różne stanowiska w charakterze ordynatora i naczelnego lekarza w wielu szpitalach miejskich; podczas kampanii krymskiej w r. 1853-im w szpitalach wojskowych pełnił służbę lekarza-ordynatora.

Niewiele chwil swobodnych — praktykę bowiem posiada dr. Estreicher bardzo rozległą, szczególnie wśród najuboższych naszego grodu — poświęcał jubilat pisywaniu artykułów w sprawach społecznych i z zakresu higieny do rozmaitych czasopism. Przed 49-tu blisko laty był współredaktorem „Czytelnicy niedzielnej,” czasopisma założonego dla ludu przez słynną w swoim czagie filantropkę, generałową Petrowową i prowadzonego świetnie przy współudziale s. p. Kazimierza Władysława Wóycickiego i Jana Papłńskiego.

Jubilat musiał gorąco ukochać Warszawę, skoro nie uległ namowom rodziny do zamieszkania w Krakowie, gdzie przebywają brat jubilata, dr. Karol, znakomity bibliograf i dy-

rektor Biblioteki Jagiellońskiej, i szwagier, dr. Julian Dunajewski, b. austriacki minister skarbu, ożeniony z siostrą jubilata, zmarłą w r. b.

Życząc czcigodnemu jubilatowi długich lat życia, składamy mu w uznaniu położonych zasług — wyrazy czci i hołdu.

L. R—dt.



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Popis uczennic i uczniów Instytutu Muzycznego.— Opera.— Nowości muzyczne.

„Nie żądam od was — pisał w swoim czasie słynny krytyk francuski Bellaigue, z powodu jednego z popisów Konserwatorium paryżkiego—doskonałych rezultatów choćby kilkuletniej nauki, podobnie jak nie wymagam od popisującego się tych zalet, jakimi celować musi każdy, kto ośmiela się wystąpić publicznie; nie będzie jednak to zbyt śmiałym postulatem, jeżeli chcę nabrać przekonania, czy kierunek „uczelnia” jest artystycznym.”

Otóż takie domaganie się krytyka paryżkiego powinno stanowić punkt wyjścia w ocenianiu znaczenia i celu popisu szkoły, która kształciła ma artystów.

Aby jednak ocenić w sposób należyty intensywność gospodarstwa pedagogicznego uczelni, trzeba, żeby popisy roczne tejsze mogły dać wyraźną miarę postępów, jakie kształcąca się młodzież odnosi w ciągu roku. Tej miary nie dają jednak popisy naszego Instytutu muzycznego. Programy ich, wykonywane przez uczniów bądź kończących, bądź li-tylko z kursów najwyższych, ugrupowują jeno wydatniejsze wyniki pracy kształconych i kształcących, dając rzut oka na działalność instytucji ogólny i powierzchowny. Wszakże wyniki owe przygotowują się we wspólnym mozole przez lata całe i klasy; tymczasem cała ta praca pozostaje dla szerszej publiczności w ukryciu, pomimo nawet tego, iż popisy—jak ostatni—obejmują z górą 15 numerów i trwają przeszło cztery godziny. Tu niezbędną jest pewna modyfikacja: albo dopuszczenie do konkursu tylko kończących, albo zmniejszenie liczby popisujących się z jednej i tej samej klasy, a dopuszczenie zaś do występu klas innych, t. zw. „średnich;” nieraz miałyby się one czem pochwalić, a uniemożliwiłoby to stwierdzanie postępów i rozwoju ucznia, jak i kierunku całej uczelni.

W tym roku np. klasa prof. Michałowskiego przedstawiła aż trzy uczennice, klasa prof. Barcewicza dwóch uczniów, — obie z doskonałymi rezultatami, do czego zresztą od dłuższego już czasu przywykliśmy; co jednak robią i jak pracują np. klasy prof. Jaczynowskiej, Sygietyńskiego, Jakowskiego, Cinka i t. p., nie a nie nie wiemy ponad to, że takie klasy istnieją. Stanowczo, w interesie szkoły należałoby zreformować charakter popisów, aby odpowiadać mogły celowości kontrolująco-pedagogicznej, aby szersze warstwy społeczeństwa mogły obznajmić się z działalnością wszystkich klas, z ich kierunkiem, z całym tonem i programem nauki w instytucji, jednym słowem, z całym stanem uczelni.

O ile chodzi jednak o powierzchowne zaimponowanie ogółowi, o wrażenie dodatnie, cel został w tym roku znowu i to nad zwykłą miarę osiągnięty, tem bardziej, że oprócz bardzo pomysłnych rezultatów zauważyć się dał objaw niemniej pożądany, mianowicie to, że po za stałym zastępem średnich uzdolnień, poszukujących w Konserwatorium podstaw trwałych i gruntownych, garną się doń także i — talenty.

Oto klasa kompozytów prof. Noskowskiego, do której zazwyczaj rozleglejsze przywiązują się nadzieje, zaprezentowała nam dwie części Symfonii wychowańca swego, p. Żmigrodzkiego. Pomijając formę, doskonałą naturalnie, tudzież instrumentację — jeszcze nie imponującą, podkreślić należy w utworze młodego kompozytora łatwość a przecież nie banalną inwencję, poczucie charakteru, kolorytu, zajmujące harmonie i to coś, co wyrasta nad przeciętność, z czego przebiega bez wątpienia talent i niekępowana wpływem nauczycielskim indywidualność, jednym słowem — polot. Znać jeszcze wprawdzie w pracy utalentowanego muzyka miejscami brak doświadczenia, ale doświadczenie to zdobywa się latami, a p. Żmigrodzki ma przed sobą czasu bardzo dużo.

Klasa p. Michałowskiego przedstawiła również dwa piękne talenty w osobach pań Wierzbickiej i Witkowskiej. Pierwsza z nich to już nie uczennica, to artystka skończona. Dziwna dojrzałość widoczna jest w jej interpretacji inteligentnej, subtelnej i wysoce wykończonych. Po za techniką wyborną, tonem pięknym i dźwięcznie rozbrzmiewającym, oraz ślicznym uderzeniem, młoda pianistka wskazuje istotny smak artystyczny, wielką muzykalność, szlachetność w traktowaniu każdego utworu i należyte wniknięcie w ducha, styl i nastrój wykonywanych kompozycji. Wszystkie te znamiona wyższego rzędu uwydatniły się w pierwszej części „Koncertu” Griega, a jeszcze bardziej w odtworzonej przepysznym „Chaconne” Bacha, w arcytrudnym układzie Busoniego. P. Witkowska odegrała dwie części „Koncertu” Moszkowskiego z towarzyszeniem drugiego fortepianu, do którego zasiadł prof. Urstein. I tu prawdziwy talent odzywał się w pełni zarówno w przebiegach indywidualności artystycznej, jak i w szlachetnym interpretowaniu utworu. Wykoloryzowane ze smakiem, technicznie doskonale i wypukłe, traktowane z wdziękiem wielkim i uczuciem niekłamaniem, obie części wyżej wzmiankowanego „Koncertu” stanowiły jeden z najwybitniejszych punktów programu.

Z czwartym wreszcie talentem wystąpiła klasa prof. Barcewicza. Wychowaniec jej, p. Lednik, wykonaniem pierwszej części „Koncertu” Mendelsohna wstępny bojem zdobył całe audytorium. Grę skrzypka oprócz pełnego, głębokiego tonu, jakim zresztą odznaczają się prawie wszyscy uczniowie naszego mistrza, i wysoko już wyrobionej sprawności technicznej, cechują zapal szczery i temperament ognisty. Może tego temperamentu jest niekiedy zawiele, co wywołuje czasem pewną jakby nerwowość w grze młodego adepta sztuki, od przybytku jednak głowa nie boli — zawsze lepiej mieć za dużo temperamentu, niż nie mieć go wcale. Lata utemperują p. Lednika, a rozmach i zacięcie, z jakim gra, działają już obecnie na słuchaczy elektryzująco i stawiają produkcję młodziutkiego artysty znacznie wyżej po nad przeciętną miarę.

Przechodząc następnie do wychowańców innych klas, wyróżnić należy popisy klasy prof. Szczepkowskiego. Z prawdziwą przyjemnością stwierdzam, że od lat kilku śpiew solowy nie wywarł na popisach tak dodatniego wrażenia, jak w roku obecnym. Nareszcie, zdaje się, że uczelnia nasza muzyczna zyskała nauczyciela, który rzeczywiście potrafi głosu kształcić i rozwijać, jak należy. Wychowańcy tej klasy: panna Czaplińska i p. Zarembiński nie wykazali wprawdzie talentów nadzwyczajnych, ale ujawnili w całej pełni doskonały kierunek, pod jakim się znajdowali. Zarówno piękny mezzosopran pierwszej, jak sympatyczny tenor drugiego, są upozowane dobrze w t. zw. masce, wyrównane i technicznie już dość znacznie nawet oglądzone; w braniu oddechów, w wymowie, w frazowaniu, w łączeniu ze sobą słów i frazów muzycznych na każdym kroku znać było umiejętne wskazówki kierownika szkoły.

Nie można tego samego powiedzieć o klasie p. Sołowiewiczowej, która wystąpiła z jedną uczennicą, p. Rosenbergową. Młoda śpiewaczka

przedstawiła się, jako osoba, obdarzona ślicznym głosem, niezwykle muzykalnością i inteligencją, jednym słowem, z niewątpliwym talentem, któremu brak jednak odpowiedniego kierunku, aby mógł zajaśnieć w całym blasku. Nadużywanie fermat, portamentów i innych tanich efektów wirtuozostwa śpiewaczego, dzielenie przez częste oddechy zdań muzycznych na zbyt drobne ułamki, ba, nawet chwytywanie oddechu w środku pojedynczych wyrazów, były tego aż nadto wymownym dowodem. A szkoda, gdyż taki materiał, jaki przedstawia p. Rosenbergowa, w umiejętnych rękach mógłby przynieść chlubę naszemu Konserwatorium.

Z innych popisujących się wymienić jeszcze należy poprawnego skrzypka, p. Winickiego (klasa prof. Barcewicza), bardzo dobrego klarynecistę, p. Sieńskiego (klasa prof. Sobolewskiego) i kornecistę z ładnym zadęciem, p. Chejfecę (klasa prof. Zieglera).

Chóry mieszane Instytutu czysto, zgodnie i rytmicznie, ale z chronicznym i raziącym brakiem głosów wykonały dwie kompozycje Brahmsa i Händla, orkiestra zaś pod wodzą niezmordowanego dyr. Noskowskiego zarówno w wykonaniu „Symfonii” Żmigrodzkiego, jak i w towarzyszeniu popisom solistów, wprawiała w tym roku w prawdziwy podziw karnością i zgraniem, rzeczywiście nadzwyczajnym w warunkach, w jakich się to ciało, zebrane doraźnie, znajduje.

Opera zamknęła w ubiegłym tygodniu podwoje swe na kilka miesięcy, kończąc tym sposobem sezon pracowity bardzo i zajmujący, a jednak pełen dla niej klęsk materyalnych. Cały ten sezon wypełniła walka reżyserii z zakorzenionymi upodobaniami i nałogami publiczności naszej, nie chcącej w żaden sposób zrozumieć, że sztuka operowa obyć się może w zupełności bez tenorów i barytonów fenomenalnych. Opozycja starych nawyków okazała się bardzo silną. Nie pomogło ani wystawienie po polsku „Fausta” i „Lohengrina”, ani wznowienie prześlizgniętej „Marty” Flotowa, ani zapoznanie publiczności z nowościami: „Daliborem” i „Livią Quintillą”, ani udzielanie częstych debiutów aspirantom do kariery scenicznej, wśród których znalazły się i prawdziwie interesujące siły, jak np. p. Leliwa, ani sprowadzanie artystów, nawet bardzo dobrych, jak: panie Bohussówna i Ruszkowska, panowie Drzewiecki, Jeromin i Bandrowski. Teatr świecił ustawicznie pustką. Zdaje się jednak, że wytrwałość i zabiegliwość reżyserii zrobią w końcu swoje, i reformowawszy operę, zreformują także publiczność. Tak sądzić można po wystawieniu w końcu sezonu „Manru”, której to opery kilkanaście przedstawień odbyło się przy pełnej widowni. Jest nadzieja, że przyszły sezon przekona wreszcie melomanów naszych do nowego systemu, tem bardziej, że repertuar, obiecujący nam „Walkirę”, „Chopiną”, „Wilhelma Tella”, „Samsona i Dalilę”, „Ludwikę” Charpentiera i t. d., zapowiada się nadzwyczaj bogato i interesująco.

Na zakończenie słów kilka o nowościach muzycznych. Firma Sennewalda wydała zgrabniutki utwór na fortepian Poldini’ego p. t. „Poupée Valsante”. Melodyjna, elegancka, jak wszystkie utwory Poldini’ego i niezbyt trudna kompozycja ta ze wszech miar zasługuje na uwagę osób średnio zaawansowanych w grze fortepianowej. Nakładem „Echa Muzycznego” wyszły do śpiewu klasyczna „Arietta” J. B. Pergolese’go (z pierwszej połowy XVIII-go w.), przekład Piotra Mazińskiego, oraz na fortepian „Akwarelle” Gade’go. — „Meloman” wreszcie w zeszytach 5-ym i 6-ym dał aż 12 utworów, z których wyróżnić należy piękną rapsodyę F. Scharwenki (dla osób znacznie już posuniętych w grze fortepianowej), zajmujące melodye albańskie Koczewa w doskonałym układzie Kowarzewicza, charakterystyczną „Bajkę” Delafosse’a, miłą „Serenadę” Monti’ego i „Preludium” młodego kompozytora naszego, L. Marczewskiego. Ten ostatni utwór, pomimo widocznego nań wpływu Czajkowskiego, swoją melodyjnością, ładnymi har-

moniami i wzorowym opracowaniem przedstawia się bardzo korzystnie i efektownie.

St. Dziadulewicz.



Wspomnienie o ś. p. Władysławie Podlewskim.



W dniu 20-ym z. m. w Częstochowie rozstał się z tym światem ś. p. Władysław herbu Poraj Podlewski, przeżywszy lat 70.

Zgon ten obrzucił cieniem smutku ogół mieszkańców naszego miasta, gdyż osobistość zmarłego należała do tych rzadkich wyjątków, które cnotami ewangelicznymi przyświecają niby gwiazdy zwykłym, po tym padole płaczu błędzącym, śmiertelnikom.

Mimo, że ś. p. Władysław nie posiadał wpływów i stosunków rozgałęzionych, ani obfitych środków materyalnych, mimo, że sam wiodł życie skromne, ciche i pracy oddane, jednakże zdołał pozyskać sobie życzliwość i szacunek wszystkich, z kimkolwiek miał kiedy do czynienia, wszystkich, ktokolwiek miał sposobność bliżej go poznać, bo: „Przeszedł, dobrze czyniąc.”

Znały go wdowy i sieroty miasta, znały instytucje dobroczynne, znali rady i pomocy potrzebujący, znali kłopotami i troskami niepokojeni; on zawsze do nich pierwszy rękę skora i chętną ku pomocy wyciągał.

Ciężkie koleje życia, jakie przechodził, nie tylko nie rozgoryczyły jego szlachetnego serca, lecz przeciwnie, wyrobiły w nim wielką dla niedoli bliźniego czułość, wielką dla błędów jego pobłażliwość, wielką pogodę i rezygnację wobec udręczeń własnych.

Zkąd czerpał siły moralne, by chrześcijańsko-dobrym wytrwać przez całe długie życie? — oto z miłości w najszerszym znaczeniu tego wyrazu: z miłości Boga, kraju, ludzkości, pracy, przyrody. Miłość ta była talizmanem, który chronił go przed pokusami świata, pokrzepiał w walce z losem, zachował mu do końca dni niepozżytą młodość uczuć i świeżość umysłu...

Dzięki temu talizmanowi nieodżałowany zmarły do ostatniej chwili interesował się sprawami społeczeństwa, cieszył radością, smucił smutkiem drugich, rozweselał otoczenie żartem swobodnym i poczciwym, nigdy dwuznacznym.

Ścieżki jego życia strome były i nie różami zasłane: nie jeden na jego miejscu byłby się na nich pośliznął, nie jeden w przepaść z nich osunął — on pewną przebiegł je stopą, nigdy się nawet nie zachwiał.

Gromadził wiadomości o miejscowościach, w których przebywał, ich florze i faunie, zwyczajach i obyczajach, aby następnie podzielić się niemi z czytającym ogółem. („Podróż po Kaukazie” w „Tygodniku ilustrowanym”, za redakcji Ludwika Jenikego, „Wspomnienia z Kaukazu” w „Wędrowcu”).

Trawiony tęsknotą za krajem, porzucił otwartą dla siebie karierę wojskową i osiadł w Warszawie, gdzie przez lat dwadzieścia urzędował w ówczesnej Izbie Obrachunkowej, jednocześnie prowadząc w „Wędrowcu” dział wiadomości bieżących i korespondencji.

Od r. 1885-ym przeniósłszy się do Częstochowy na stanowisko kasyera miejskiego; na niem przez lat blisko 17-cie pracował i na niem — niby żołnierz na posterunku, padł ugodzony ciosem śmierci...

Wszyscy, odejściem z pośród nas tej świetlanej postaci dotknięci boleśnie, czerpiemy ulgę jedynie w poczuciu i przekonaniu, że żal nasz i wdzięczność w połączeniu z cnotami tego wybranego sługi Bożego — niby precenne kwiecie rajskie uścielią mu drogę powrotną do Pana, który go tu w dobroci swej zesłał dla pociechy, przykładu i pomocy przeciętnym i słabym bojownikom i pielgrzymom ziemskim.

Cześć jego pamięci!

H. K.

Częstochowa, d. 24-go czerwca 1902 r.

Rocznica zgonu Fryderyka Fröbela.



Pięćdziesiąt lat minęło 21 czerwca od zgonu Fryderyka Fröbela, znakomitego pedagoga i nauczyciela, prawdziwego przyjaciela dzieci, którego rozumna i nieustraszona działalność system wychowawczy na nowe zwróciła tory. Dziś jeszcze, po upływie połowy wieku od jego śmierci, zbieramy błogosławione owoce jego zacnych, pełnych głębokiej mądrości wskazówek.

Fryderyk Fröbel urodził się w Schwarzburg-Rudolstacie, d. 21-go kwietnia 1782 r. Mając lat 17, po studiach, prowadzonych w domu, wstąpił do Uniwersytetu w Jenie. Atoli niedostateczne środki materyalne zmusiły go do przerwania nauk i wtedy to rozpoczęły się dla młodego Fröbela lata wędrówki. Pracował bądź to, jako sekretarz właściciela dużych majątności w Meklemburskiem, bądź w urzędzie leśnictwa, bądź wreszcie jako nauczyciel w tak zwanej „szkole wzorowej” w Frankfurcie nad Menem, prowadzonej według systemu Pestalozziego. Tu po raz pierwszy osiągnął pole pracy, na którym w późniejszych latach tyle położył zasług. W r. 1807 został nauczycielem i towarzyszem dwóch synów młodego obywatela, pana von Holzhausen i przebywszy z nimi trzy lata w instytucie „Pestalozziego” w Yverdo, sam rozpoczął nanowo uniwersyteckie studia w Göttingu i w Berlinie. Po wojnie, podczas której należał do Lützowskiego pułku, objął posadę inspektora mineralogicznego Muzeum w Berlinie i na tej pozostawał do roku 1816. Uzbierawszy trochę środków, założył w Griesheimie, nieopodal miasta Ilmu szkołę, właściwie dom wychowawczy, który wkrótce przeniósł do Keilhau, pod Rudolstadt.

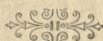
Szkoła Fröbela, prowadzona przez niego doskonale i na zasadzie nowego, przezeń do niej wprowadzonego systemu wychowawczego, oraz pedagogiczne jego dzieła coraz szerzej roznosiły sławę jego imienia. System wychowawczy Fröbela, zasadzał się na równomiernem, harmonijnem rozwijaniu i kształceniu wszystkich zdolności i uczuć dziecka.

Od roku 1831 do 1837 przebywał w Szwajcarii, gdzie pod jego okiem, zasilane jego wskazówkami, w Bernie i w Lucernie powstały zakłady podobne do szkoły w Keilhau. Po sześcioletniej nieobecności powrócił do kraju, gdzie już do końca życia prace swe pedagogiczne poświęcał dzieciom, które ukochał istic ojcowskim sercem.

W Blankenburgu, w Turyngii założył pierwszy „Ogródek dziecięcy”, a zaś w Liebensteinie pierwszą szkołę wychowawczą, tak zwanych „freblanek.”

Dziś system wychowawczy Fröbela znany jest wszędzie i stanowi jeden z najważniejszych podkładów pedagogiki nowoczesnej. System ten w historii wychowywania całych pokoleń zaznacza się jako główny przyczynnik do rozwoju duchowego, zdrowego i jasnego, późniejszych ludzi. To pierwsza cegiełka prawdziwej, od posad trwale budowanej kultury.

Z. S.



Kronika działalności kobiecej.



— Nędzne wynagrodzenie, pobierane przez kobiety, zajęte w biurach pocztowych w Austrii i na Węgrzech, niejednokrotnie bywało przedmiotem rozpraw podnoszonych przez prasę miejscową. Po licznych zażaleniach i wytrwałej walce, kobiety uzyskały nareszcie lepsze warunki tak co do liczby godzin pracy, jak i co do wynagrodzenia. W tym miesiącu 148 kobiet otrzymało formalną nazwę urzędników pocztowych z pensją 1,200 koron rocznie. Jest to początek ogólnego ustunkowania płac i pracy kobiet-urzędniczek, które dąży do tego, by im przyznać równe prawa z prawami męzkich ich kolegów.

— Oddział sztuk i rzemiosł, przy Stowarzyszeniu kobiet w Norymberdze, pozostający pod kierunkiem p-ny Elzy Opplerówny, wysyła do Turynu, na tegoroczną wystawę modernistycznej sztuki dekoracyjnej, próby artystycznych w tym kierunku pomysłów, oraz duży dobór haftów maszynowych. Na tych ostatnich zauważyć można, jaki wpływ mają maszyny na kunszt hafciarski. Wystawa obejmuje też maszyny i narzędzia w przemyśle tkackim używane.

— Na stacji Vilpian przy drodze żelaznej Bozen—Meran, w Tyrolu, panna Horkówna została naczelnikiem stacji. Jest to pierwsza kobieta, która otrzymała podobną posadę. Austriackie ministerium dróg żelaznych powierzyło to zajęcie kobiecie tytułem próby.

— Doktor medycyny, pani Ada Nilsson, została pomocnikiem naczelnego doktora w szpitalu „Ersta” w Sztokholmie.

— W Kassel zjechało się 15 przedstawicieli różnych stowarzyszeń kobiecych. Trzy dni zeszły na poważnej pracy i żywej wymianie zdań, dążących do jaknajszerszego rozwinięcia idealnych celów ogólnej oświaty i fachowego wykształcenia kobiet.

— Amerykańska firma „Mrs Ira Smith i córka” posiada świetnie rozwinięty jubilerski interes w Yorku (Nebraska). Miss Smith jest niezmiernie uzdolnioną w tym zawodzie. Przedmioty, wyszłe z jej ręki, zyskiwały pierwszorzędne nagrody na wszystkich wystawach lat ostatnich.

— W Uniwersytecie w Melbourne liczba studentek przechodzi 200. Wszystkie fakultety są dla nich dostępne i studentki mają równe prawa z kolegami męzkimi.

— Po raz pierwszy w Szkocji kobieta-lekarz otrzymała urzędowe stanowisko. Rząd, z ramienia swego naznaczył panią Jane Boyer lekarzem na wyspie Coll (Argylshire). Pani Boyer doktoryzowała się w Uniwersytecie Edyńskim.

— W roku bieżącym, w Stanach Zjednoczonych, 480 kobiet praktykuje, jako lekarki dentystki.

Z. S.

Treść numeru:

Ogródki dziecięce, przez Wandę Grot-Bęczkowską (Korotyńska). — Przysiań, powieść współczesna, przez J. Terpiłowską (ciąg dalszy). — Zakwitły zboża (wiersz), przez Bożymira. — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Nasze dzieci: II. Dziecko leniwe, przez Henryka Rygiera. — Sentymentalizm w wychowaniu, przez X. (dokończenie). — Kobieta na Wschodzie, przez K. D.-S.—Dr. Antoni Estreicher, przez L. R—dta. — Przegląd muzyczny, przez Stanisława Dziadulewicza. — Wspomnienie o ś. p. Władysławie Podlewskim. — Rocznica zgonu Fryderyka Fröbela przez Z. S.—Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.—Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz drugi „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnem Afryki” d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 26). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krajów.

Całun Jezusa Chrystusa

Stydium naukowe Pawła Vignon'a Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis drogocennej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony 19-ma ilustracjami, odbitemi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

NAJWIERNIEJSZA KOPJA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSUSA.

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za № 2460.

CENA kop. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz” Ś-to Krzyżka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.

„ZORZA“

Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

2

WARSZAWA, CHMIELNA № 44.

Dezynfekcja

i czyszczenie pierzy, włosów materacowych.

Ubrania po chorych etc.

Marszałkowska 33.

Żądajcie w Składach Aptecznych i Aptekach

INSEKTIN

skutecznie tępi wszelkie robactwa.

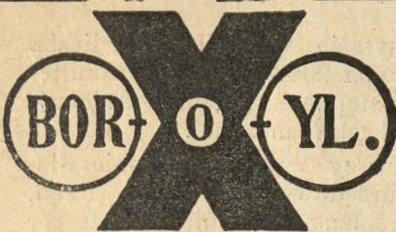
REPREZENTANT I SKŁAD HURTOWY

ZYG. MAMLOK

WARSZAWA, Złota № 36.

SOSNOWIEC, ul. Modrzejska.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

BORXYL

chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białosć.

Cena flakonu 60 k.

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

F. ZAMENHOFA

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

Rodzice, pragnący kształcić swe córki w Krakowie, znajdą dla nich wszelką wygodę, opiekę macierzyńską i na żądanie lekcy muzyki, u pani **M. Przybylskiej**, wdowy po lekarzu, a zamieszkałej tamże przy ul. **Retoryka** № 2. **Kraków**.

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien

„ROMANA“

Warszawa, Erywańska 14.

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie, (wydaje patenta cechowe). Wykonuje, suknie, szlafroki, bluzki, halki, matinki.



Album

Sztuki Polskiej

Cena w oprawie

Rb. 12.



Dozw. przez Urząd Lekarski — Odświeża skórę i nadaje jej miękkość, delikatność i puszystość,

OSTRZEŻENIE.

Wskutek licznych bezwartościowych naśladowań Pudru „IRIS“ zupełnie nieszkodliwego, który dzięki swym wysokim zaletom, zjednał sobie uznanie, zmuszony jestem prosić Szan. Publiczność o zwracanie przy kupnie uwagi na zamieszczone obecnie marki ochronne, zatwierdzone przez Minist. Skarbu, a znajdujące się na każdym pudełku. Naśladownictwa będą prawnie poszukiwane. Żądać wszędzie w blaszanym opakowaniu z podpisem **H. LACHS**,

pudełko po kop. 15, 30, 50, 75.



Egzystująca od 1882 roku

PRACOWNIA I MAGAZYN

Wyrobow Złotych, Srebrnych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy Trębackiej № 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, koleczyki, bransolety, breloki, krzyżyki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stolowe i fantazyjne.

Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstaunki w zakres jubilerstwa wchodzące.

Znaczny wybór rączek srebrnych do lasek.

CENY FABRYCZNE.

KURSY FROEBLOWSKIE ze sloidem dla bon i wychowawczyń

JADWIGI BOROWSKIEJ dawniej Jahołkowskiej Wspólna 20.

Po ukończeniu świadectwo, posady, lekcy. Zapis od 20 Sierpnia.

Pensya żeńska prywatna

ANTONINY WALICKIEJ

ul. Krucza № 44, róg Nowogrodzkiej,

otworzona zostanie z początkiem roku szkolnego 1901 — 3. Adres tymczasowy: **Sienna 20**, od 4-ej do 5-ej po południu.

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”

Piano — „CROWN” 15

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon № 812.

OBICIA

oraz odnawianie lokali, TANI!

STEFAN LOBER

PAPIEROWE

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

Egzystująca od 1835 roku firma

„T. STRAKACZ I SYN“

w WARSZAWIE

przy ulicy Kapucyńskiej, róg Miodowej

poleca:

znaczny wybór kościelnych ubiorów, materji w różnych gatunkach i deseniach, oraz różne inne przedmioty na użytek Kościoła potrzebne.

Trzy dyplomy zasługi — Cztery medale złote i 14 srebrnych

dobra PRAŻMÓW

Telegraf i poczta GRÓJEC (gub. warszawska).

HODOWLA TRZODY ANIELSKIEJ, WIELKIEJ, BIAŁEJ, CZYSTEJ KRWI

ORAZ

PTACTWA DOMOWEGO RASOWEGO.

Hodowczyni **Izabella Ryx**.

„NAKOŁO ŚWIATA“

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

poświęcone

opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków.

Wychodzi w Warszawie według programu, obejmującego następujące działy:

Opisy podróży lądowych i morskich.

Artykuły przyrodnicze i geograficzne.

Odkrycia i wynalazki.

Opisy krajów i ludów we wszystkich częściach świata.

Sprawy żeglugi powietrznej.

Rozmaitości, zadania, szarady i t. p.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

w Warszawie rocznie rb. 4. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie 5 rb.

półrocznie 2 rb. 50 k.

kwartalnie 1 rb. 25 k.

Od 1 października r. b. zacznie wychodzić dodatek tygodniowy p. t.

BIBLIOTEKA ILUSTROWANA PODRÓŻY i POWIEŚCI.

Prenumerata pisma wraz z Biblioteką wynosić będzie w Warszawie 6 rb. rocznie i z przesyłką pocztową 7 rb. 50 k.

Wydawca: **Antoni Orłowski**.

Redaktor: **Wacław Jezierski**.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ulica S-tej Barbary № 8.